
...Aż dojdziemy wszyscy do jedności wiary i poznania Syna Bożego, do męskiej doskonałości, i dorosniemy do wymiarów pełni Chrystusowej...

Od domu Bożego

Nadszedł bowiem czas, aby się rozpoczął sąd od domu Bożego...

1Pt 4: 17a

O przebudzeniu w takiej czy innej formie myślą i mówią w naszym kraju wszyscy. Jedni są jego entuzjastami, pewnymi, że nadejdzie niebawem i gotowymi uczynić wszystko dla przyspieszenia tej chwili, inni zaś sceptykami, widzącymi sytuację raczej w kolorach czarnych. Ale jedni i drudzy uważają przebudzenie za coś pozytywnego, pożądanego i cennego, a różni ich jedynie kwestia jego osiągalności.

Tak czy inaczej, przebudzenie nie nastąpi, jeśli z naszej strony nie zostaną spełnione określone warunki. Nie jest tak, że trzeba tylko usilnie prosić Boga, aby ulitował się i zesłał przebudzenie. Zastój i odstępstwo nie są dziełem ani wola Boga, lecz wynikiem naszego jakże marnego i kulawego chrześcijaństwa. Bożą wolą jest nieprzerwane przebudzenie, gdyż to, co nazywamy przebudzeniem, nie jest czymś wyjątkowym, lecz po prostu normalnym stanem normalnego życia chrześcijańskiego. Nie trzeba więc prosić Boga, aby zesłał przebudzenie, gdyż On gorąco tego pragnie. To nie On ma się przebudzić, gdyż On nie śpi. To my mamy się przebudzić, gdyż to my śpimy w sensie duchowym, uważając swój rażąco nienormalny stan uspienia za coś normalnego.

Na szczęście jednak wielu z nas zdaje sobie z tego sprawę i gotowych jest usuwać ze swojego życia wszystko to, co wiąże się z uspieniem i zastojem. Jest takich rzeczy w naszym życiu niemało, toteż ich poznawanie i eliminowanie po kolei jest, lub przynajmniej powinno być, przedmiotem naszej bacznej uwagi i zdecydowanego działania.

Jedną z najistotniejszych przeszkód normalności w życiu chrześcijańskim są resztki nieprzeobrażonej starej natury, a mówiąc bez ogródek — różne postacie grzechu. Z wieloma rzeczami zerwaliśmy zdecydowanie w chwili nowego narodzenia z Ducha, wielu naszych wrogów w postaci uczynków ciała umartwiliśmy w trakcie krótszego czy dłuższego okresu naszej drogi za Panem. Niestety jednak proces ten w bardzo niewielu przypadkach uważać można za całkowicie zakończony. Bardzo niewielu chrześcijan wyznać może bez wahania, że

ich stary człowiek został ukrzyżowany z Chrystusem i umarł bezpowrotnie. Bardzo wielu z nas nawet po stosunkowo długim stażu życia chrześcijańskiego boryka się z nieprzezwycięzonymi do końca, powtarzającymi się co pewien czas upadkami w niektóre grzechy, z nieokleczanymi do końca wadami charakteru, z wciskającymi się nieodparcie w umysł nieczystymi myślami, z uporczywie wracającymi raz po raz grzesznymi pragnieniami.

Nie znaczy to, że jesteśmy nieodrodzeni, gdyż miłujemy naszego Pana i służymy Mu, a nasze upadki sprawiają nam głęboki ból i zawsze szybko podnosimy się z nich, szukając w pokucie przebaczenia i oczyszczenia krwią Jezusa Chrystusa. Nie znaczy to także, że jesteśmy obłudnikami, gdyż naszych upadków, grzesznych skłonności i wad nie ukrywamy, lecz nieraz je wyznajemy i szczerze nad nimi bolejemy. Chociaż... czy rzeczywiście aż tak bardzo bolejemy, skoro niebawem przydarza nam się to samo? I czy często nie jest tak, że nasze upadki, może już kilkakrotnie wyznawane, po raz kolejny wolimy raczej pokryć milczeniem? Czy nie jest tak, że nierzadko rozmyślnie i z premedytacją dla relaksu wchodzimy w atmosferę świeckiej rozrywki lub przywołujemy myśli, które kołyszają i pieszczą naszą starą naturę?

— Czy zatem opisany tutaj stan uznać można za normalny i dopuszczalny? Czy należy pogodzić się z tymi pozostałościami starego życia, przyzwyczaić się do nich i prowadzić życie chrześcijańskie w „pokojowym współistnieniu” z tymi nieprzyjaciółmi, którzy niegdyś całkowicie nad nami panowali, teraz zaś są znacznie osłabieni i tylko od czasu do czasu dają się nam we znaki? — Przygniatająca większość chrześcijan tak właśnie podchodzi do tej sprawy, a wynikiem jest poziom życia duchowego, jaki wszyscy znamy. Mimo, że próbujemy czasem taki nasz stan uzasadnić niektórymi wersetami biblijnymi, nie ulega wątpliwości, że jest to stan bardzo daleki od biblijnego standardu dla ludu Bożego, od Bożych możliwości i od Bożych oczekiwań względem nas.

Właśnie ta odległość naszej codzienności od Bożego wzorca określa naszą odległość od przebudzenia czyli od stanu obfitości duchowej. Bóg bowiem mówi: „Oto ręka Pana nie jest tak krótka, aby nie mogła pomóc, a jego ucho nie jest tak przytępione, aby nie słyszeć, lecz wasze winy są tym, co was odłączyło od waszego Boga, a wasze grzechy zasłoniły przed wami jego oblicze, tak że nie słyszy” (Iz 59:1–2). Jest to życie chrześcijańskie w relatywizmie własnych ocen, toczone według ogólnie przyjętych norm i zasad, które w potocznym mniemaniu uchodzą za zadowalające, ale którego poziom sprawia, że trzeba pogodzić się na bieżąco z brakiem nadnaturalnej Bożej obecności i brakiem nadnaturalnych Bożych błogosławieństw.

Biblijnym typem takich stosunków jest sytuacja Izraela w Kanaanie, kiedy to lud Boży zajął tę ziemię i osiedlił się w niej, lecz zamiast zgodnie z Bożym nakazem wytepić doszczętnie zamieszkujące wcześniej ten kraj ludy, uczynił to niedbale, połowicznie, na skutek czego pozostali przy życiu Kananejczycy byli dla ludu Bożego źródłem ustawicznej udręki, nie kończących się problemów i bolączek, przez co ich życie w tym kraju było dalekie od poziomu, przewidzianego dla nich przez Boga. Na skutek swojej opieszałości i nieposłuszeństwa musieli przez długi czas borykać się z nieprzyjaciółmi, od których zgodnie z Bożym planem mieli być raz na zawsze wolni.

Szczególnym symbolem grzechu i uczynków starej cielesnej natury wydaje się być wyjątkowo zdemoralizowany i całkowicie zdegenerowany lud Amalekitów, który przez całą historię Izraela przejawiał w stosunku do ludu Bożego nieprzejednaną wrogość. Już bezpośrednio po wyjściu z Egiptu Amalek był pierwszym przeciwnikiem, który stanął na drodze Izraelitów, z którym musieli stoczyć walkę (2Mo 17: 8–16). Dowiadujemy się, że Amalekici byli nie tylko nieprzyjaciółmi ludu Bożego, lecz i samego Boga (5Mo 25: 17–19). Kiedy Pan powołał Saula na pierwszego króla Izraela, polecił mu przez prorostwo wytepienie Amalekitów (1Sm 15: 1–8), ale mimo zwycięskiej bitwy Saul okazał się nieposłusznym i nie spełnił Bożego polecenia (1Sm 9–35), zachowując przy życiu króla Agaga, którego dopiero zabił osobiście prorok Samuel.

Sprawa ta miała w oczach Bożych tak ogromną wagę, że nieposłuszeństwo Saula kosztowało go tron, a w końcu i życie (1Sm 15:26,35; 1Sm 16:1; 1Sm 28:17–19). Ironią losu było to, że Saul zginął z rąk pewnego Amalekity (2Sm 1:1–16). Następca Saula Dawid także miał do czynienia z Amalekitami, którzy w dalszym ciągu atakowali lud Boży (1Sm 30:1–31), ale w odróżnieniu od swojego poprzednika tępił ich bezlitośnie (w. 17). Niemniej jednak niektórzy umknęli i historia tej odwiecznej wrogości toczyła się dalej. Jej dramatyczną kontynuację znajdujemy w Księdze Estery, gdzie wyjątkowo perfidny Amalekita Haman, potomek króla Agaga, uknuł spisek, usiłując wytepić cały lud izraelski (Est 3:1–6) i dopiero bezpośrednia ingerencja Boża udaremniła ten diabelski plan i doprowadziła do zguby Hamana i jego rodu (Est 7:10; 8:3–8; 9:7–10). Dopiero wieczność objawi dalszy ciąg tej zacieklej wrogości aż po czasy najnowsze i jej ostateczny finał.

Grzech i nasz stary człowiek to nasi najwięksi, nieprzejednani wrogowie, toteż kiedykolwiek pobłążamy im i godzimy się na współlitanie z nimi, płacimy za to ogromnie wysoką cenę tracąc wysokie stanowisko zwycięzców, pozbawiając się mocy Bożej i skazując się na marny byt półniewolników czy robotników pańszczyznianych. Rezultatem jest ponura „normalność”, w której raz po raz doznajemy porażek

i niepowodzeń, a dzieło Boże, którego reprezentantami jesteśmy lub przynajmniej być powinniśmy, znajduje się na skutek tego w pohambieniu i pogardzie.

Nasz tekst mówi jednak, iż „nadszedł czas, aby się rozpoczął sąd od domu Bożego”. Do pewnego czasu Bóg może tolerować naszą lenność i połowiczność, kiedy jednak uderza Boża godzina, stan taki staje się niedopuszczalny. Ma to miejsce wtedy, gdy Bóg zamierza poprowadzić swój lud dalej naprzód, kiedy zamierza wdrożyć następny etap swojej pracy nad nim, kiedy chwila dojrzewa do podjęcia nowych wyzwań i nowych celów. Wierzmy mocno, że żyjemy w takiej chwili, że stanowczo nie ma już czasu na kontynuowanie dalszej stagnacji, że stanowczo i nagle trzeba ruszyć w ślad za podnoszącym się słupem obłokowym Ducha w kierunku biblijnego celu naszego powołania.

W sytuacji takiej na pierwszy plan wysuwa się zawsze nasz osobisty i grupowy problem Amalekitów. Wyruszenie naprzód staje się niemożliwe bez radykalnego przełomu w sferze naszej cielesności. Kiedykolwiek i gdziekolwiek Bóg zamierza coś uczynić i zaczyna pobudzać swój lud do modlitw i szukania Jego oblicza, na pierwszy plan wysuwa się problem oczyszczenia i uświęcenia. To, co przez długi czas uchodziło nam płazem, albo przynajmniej uważaliśmy, że uchodzi nam płazem, teraz na dalszą metę okazuje się być nie do zniesienia. Zbliżenie się do Boga w modlitwie w pierwszej kolejności odsłania najróżniejszy nasz brud, wywołując okrzyk: „Biada mi!” (Iz 6:1-5). Pod autentycznym działaniem Ducha Świętego nasza zwyczajowa pobożność i moralność okazuje się być splugawioną szatą, której Bóg nie może i nie będzie tolerować ani chwili dłużej. I nie dotyczy to bynajmniej jakichś marginesowych chrześcijan, którzy ledwo wloką się za ludem Bożym gdzieś z tyłu, lecz wszystkich, nie wyłączając tych przodujących, usługujących z namaszczeniem i obdarowaniem duchowym, mającym za sobą dłu-goletni staż w pracy Pańskiej.

— Ale przecież wielu pracowników ma już takie przeżycie za sobą. Pokutowali już pod działaniem Ducha Świętego i doznali wewnętrznej przemiany, a teraz usługują już od dawna pod Bożym namaszczeniem.

— Tak, to prawda, ale żadne przeżycie nie załatwia sprawy naszego stanu duchowego raz na zawsze. Po pierwsze, istnieje kwestia stopnia naszej przemiany wewnętrznej. Nigdy nie zostajemy przemienieni i uchwyceni przez Ducha tak, aby dalsza przemiana była już niepotrzebna lub niemożliwa. Po drugie, występuje czynnik czasu. Niestety w większości przypadków nasze przeżycie z Bogiem, zamiast nasilać się i pogłębiać, z upływem czasu zaciera się raczej, osłabia i słyca. Z biegiem czasu mamy tendencję do ponownego obrastania w uczynki ciała i świecką mentalność, lub choćby tylko ociężałość i opieszałość,

co stwarza konieczność nowego skruszenia i nowego ożywienia przez Ducha. I po trzecie, nowe wyzwania stwarzają nowe potrzeby, a szczególne wyzwania stwarzają szczególne potrzeby. Potrzebą jest, aby nasze duchowe przeobrażenie i uzbrojenie stało się adekwatne, wystarczające w aktualnej, szczególnie sytuacji.

Dzisiejszy czas jest niewątpliwie szczególnie i rzuca ludowi Bożemu wyzwania wyjątkowe, toteż potrzebna jest całkiem nowa jakość, całkiem nowy poziom naszego stosunku do Boga, naszego uświęcenia i naszego duchowego namaszczenia i wyposażenia. Wszystko to jest jak najbardziej dostępne, jeśli tylko nasze złożenie się Bogu w ofierze i nasza gotowość śmierci z Chrystusem będzie całkowita i bezwarunkowa. Bóg ma dla nas daleko więcej niż „normalnie” widzimy i niż dotychczas ktokolwiek z nas od Niego przyjął, toteż niezależnie od wszystkich naszych dotychczasowych przeżyć z Bogiem sprawa naszego ponownego splonięcia na Bożym ołtarzu jest dla nas wszystkich jak najbardziej aktualna i pilna.

Jest to przeżycie wstrząsające, kiedy w Bożym świetle nasze wysokie mniemanie o sobie momentalnie rozsypuje się w gruzy i przekonujemy się, że przepadamy absolutnie i pod każdym względem, że jesteśmy niczym, nie stać nas na nic i nie mamy absolutnie nic, co Bóg mógłby zaakceptować. Następuje gorzka śmierć własnego „ja”, nasze całkowite bankructwo. Niemniej nie jest to klęska, lecz zwycięstwo, gdyż taki właśnie jest normalny Boży proces z życiem każdego rozwijającego się dziecka Bożego, z tym tylko, że często przez całe długie dziesięciolecia procesu tego unikamy i uniemożliwiamy Panu jego przeprowadzenie, zasłaniając się naszą własną, ludzką, błędną samooceną. Jakkolwiek więc proces ten byłby gorzki i bolesny, jest procesem uzdrowieńczym, jest przejściem na Bożą skalę wartości i na obiektywne Boże standardy, czyli znaczącym i istotnym krokiem naprzód w naszym życiu duchowym.

Może tak być tylko wtedy, gdy Boży osąd przyjmiemy i Jego oczyszczającemu działaniu dobrowolnie się poddamy, pokutując, wyznając dostrzeżone grzechy i brudy oraz odcinając się od tego wszystkiego i porzucając to całkowicie i zdecydowanie. Co więcej, w naszym duchowym interesie leży, aby proces ten był jak najbardziej dogłębny i wszechstronny, aby Boże światło objęło wszystkie dziedziny naszego życia i aby Boży ogień przepalił je wszystkie na wskroś, do samego dna. Możemy się do tego przyczynić, świadomie i usilnie odrzucając wszelkie swoje dotychczasowe normy, oceny i przekonania, a prosząc o spalenie i zniszczenie tego wszystkiego, co nasze stare, o Boży obiektywny osąd w każdej dziedzinie i o zbudowanie wszystkiego na nowo, od podstaw poprzez działanie Ducha Świętego.

Kiedy, mając na uwadze przebudzenie, zbliżamy się do Boga w usilnych modlitwach, najczęściej przedmiotem naszych prośb jest poruszenie duchowe wśród niewierzących, skuteczność ewangelizacji, wzrost liczebny Kościoła, zburzenie duchowej opresji nad miejscowościami. Jest to w pewnym sensie logiczne i słuszne, ale droga do tego prowadzi w pierwszej kolejności przez Boży sąd nad nami samymi, przez ten proces, który tutaj omawiamy. Niezależnie więc od tego, o co rozpoczniemy modlitwę, jeśli będziemy w niej wytrwali, prędzej czy później Bóg położy główny nacisk na nasz własny stan duchowy. Słuszniej więc byłoby rozpocząć walkę modlitewną o przebudzenie właśnie od usilnej prośby o własną przemianę w świetle i pod działaniem Ducha Bożego, wszystkie bowiem dalsze etapy na drodze do przebudzenia uwarunkowane są tym, w jakiej mierze Duch Święty zdoła nas osiąść, wypełnić i poprowadzić.

— Czy rzeczywiście te różne nasze drobne niedociągnięcia miałyby mieć aż taki wpływ na naszą duchowość i skuteczność naszej pracy dla Pana? — Nasz własny zmysł i własna samoocena nie są w stanie określić doniosłości tej sprawy. Tylko w autentycznym Bożym świetle zdołamy zobaczyć, jak beznadziejnie tkwimy aż po uszy w świeckiej, wrogiej Bogu mentalności i jak strasznie niszczący ma to wpływ na naszą duchową kondycję. Zaśmiecona świątynia świeci pustkami i ędzą duchową. Jak tylko pod działaniem Ducha Świętego zostają z niej usunięte brudy i śmieci, bez zwłoki może zostać wypełniona obecnością Bożą z jej charakterem miłości, mocą i chwałą, co momentalnie wywiera ogromny wpływ na duchowy poziom i skuteczność usługi człowieka. Wszyscy, których Bóg przeprowadził przez taki proces, którzy na to pozwolili i przebili się poprzez warstwy i skorupy swojej cielesności do źródła pełnej mocy duchowej, stawali na progu wprost niewyobrażalnej eksplozji Bożej potęgi i chwały — na progu prawdziwego, autentycznego przebudzenia.

Warto w tym kontekście przyjrzeć się zagadkowemu przeżyciu Mojżesza, jednego z największych sług Bożych wszystkich czasów. Bóg przeznaczył go do wyjątkowej misji dziejowej i wychowywał go do niej na pustyni przez czterdzieści lat. Potem objawił mu się w potężny sposób, powołał go i zlecił mu bardzo konkretne, ambitne zadania. Wydawałoby się, że po tym przeżyciu, ruszając do Egiptu, Mojżesz osiągnął szczyt swojego poziomu duchowego. Tym dziwniejsze wydaje się to, co wydarzyło się w drodze, kiedy to nieoczekiwanie „natarł na niego Pan i chciał go zabić” (2Mo 4:24–26).

Niewykonanie obrzezania syna Mojżesza i Sypory było niewątpliwie pewnym zaniedbaniem, które Pan do czasu tolerował. Nie wiadomo, dlaczego Mojżesz to odkładał. Może nie miała dla tej sprawy

zrozumienia jego żona, może nie zgadzał się na to jego teść, a może po prostu z miłości rodzice nie chcieli zadawać bólu maleństwu. Zarówno Mojżesz jak i jego żona wiedzieli, że Bóg nakazuje, aby to uczynić, jednak z takich czy innych przyczyn zostawiali to na później. Pan milczał, co jednak nie oznaczało wcale Jego aprobaty. Do czasu nie ingerował, nadszedł jednak moment, kiedy sprawa ta stała się paląca. Co więcej, stała się nagle sprawą życia i śmierci. Zadanie, stojące przed Mojżeszem, było zbyt poważne, aby Bóg mógł pozwolić mu na ubytek, utratę mocy, spowodowaną przez jego niedbalstwo. Konieczna była pełna mobilizacja ducha, a nieobrzezanie stało do niej w rażącej sprzeczności. Dlatego przeszkodę tę musiano usunąć natychmiast, pod rygorem kary śmierci, odrzucając wszelkie sentymenty i nie wahając się przed przelaniem krwi.

Analogia do naszej duchowej mobilizacji jest oczywista. Przypomina się miejsce Słowa Bożego, które mówi: „Wy nie opieraliście się jeszcze aż do krwi w walce przeciw grzechowi” (Hbr 12:4). Kierując się sentymentem do samych siebie pobbiliśmy swoim słabostkom i odkładamy rozprawienie się z niektórymi sprawami na czas nieokreślony, a Pan zdaje się naszą opieszałość tolerować. Kiedy jednak zechce powołać nas do zadań specjalnych, zwłaszcza jeśli sami usilnie o to zabiegamy, bądźmy pewni, że nadejdzie moment, kiedy te pozornie nieistotne rzeczy w naszym postępowaniu staną się sprawą życia i śmierci. Zobaczmy, że z Bożym wymaganiem świętości nie ma żadnych dyskusji, a pozorne milczenie Pana nie oznacza wcale Jego aprobaty. Zobaczmy też, jak strasznie dużo przez naszą niekonsekwencję traciliśmy i jak skutecznie te nasze „drobne” rzekomo uchybienia ograbiły nas z duchowej skuteczności i mocy. Ale jeśli bez żadnych sentymentów skazemy na ukrzyżowanie wszelkie resztki swojego starego człowieka, zobaczymy też, jakim niepojętym strumieniem Bożych błogosławieństw i chwały to nasze oczyszczenie zaowocuje.

Bóg od pewnego już czasu przygotowuje sobie spośród nas kadre ludzi przebudzenia, nowego typu przywódców, którzy mają poprowadzić Jego lud do nowych, nieznanych dotąd zwycięstw. Przygotowuje na swój sposób, bez ludzkiej kontroli, a nawet wbrew naszym wyobrażeniom. Powstało już sporo młodych, niezbyt doświadczonych jeszcze ludzi, którzy usługują z wielkim zapałem, aczkolwiek niekonwencjonalnie, budząc nieraz zastrzeżenia i kontrowersje. U niektórych denerwuje zwłaszcza ich nonszalancja, silenie się na wesołość i dowcipy aż po różne nieomal cyrkowe, klaunowskie maniery. Jednak mówią przy tym rzeczy wyjątkowo ważne, dojrzałe i głębokie, a ich działanie jest bardzo prężne i owocne. W odróżnieniu od wielu starszych i bardziej doświadczonych przywódców dzięki łasce Bożej dostrzegli oni, że szept obłokowy aktualnie posuwa się naprzód i że w życiu ducho-

wym można i trzeba posuwać się za nim, i temu przesłaniu poświęcają swoją usługę. Jest to zjawisko niezmiernie radosne i zachęcające, toteż rodzi się nadzieja, że Pan wychowa ich sobie na współczesnych Mojżeszy, Gedeonów, Jonatanów czy Dawidów. Już teraz wyprzedzili oni całą plejadę bardziej leciwych działaczy, którzy obozują tam, gdzie słupek obłokowy poruszał się wiele lat temu, od dawna sami nie posuwają się naprzód, a ich ulubionym zajęciem jest pilnowanie, by nikt ich nie wyprzedził.

— Kto zatem potrzebuje tego poddania się sądowi Bożemu, padnięcia na twarz przed Bożym majestatem i usilnych próśb o wypalenie ogniem Bożym wszelkich resztek cielesnej, świeckiej mentalności, o obrzezanie aż do krwi z wszelkich przejawów wrogiego Bogu starego człowieczeństwa, o niezaprzeczone, całkowite ukrzyżowanie i śmierć z Chrystusem, a potem o zmartwychwstanie do jakościowo zupełnie nowego życia w wymiarze Ducha, o pełne, dokładne i staranne opróżnienie i oczyszczenie swojej świątyni, a potem o ponowne jej napełnienie niczym niezmaconą, autentycznie niebiańską treścią Ducha Świętego, treścią Bożej miłości, mocy i chwały? —

Potrzebują tego z pewnością nagląco ci z nas, którzy zafascynowani wyzwaniem i nieograniczonymi możliwościami obecnego czasu wzywają usilnie do brawurowego parcia naprzód, lekceważą ostrzeżenia i nawoływania do rozwagi, śmieją się z diabła i wyrażają prawie że pewność, iż w radosnych podskokach w niedługim czasie zdołają zdobyć cały prawie świat dla Chrystusa. Potrzebują dlatego, że wszelkie resztki nieobrzezanego człowieczeństwa ten wzniosły cel nie tylko udaremnią, lecz jeszcze okryją dzieło Boże wstydem i hańbą.

Potrzebują tego także nie mniej nagląco ci z nas, którzy myślą i działają w kategoriach przeszłości, upatrując wszelkie ożywienie jako wskrzeszenie i nawrót do dawnych, wyidealizowanych realiów, a do wszelkich nowości odnoszą się z przekąsem, nieufnie i krytycznie albo nawet z uszczypliwością i wrogością. Potrzebują dlatego, gdyż niewątpliwie i w takiej postawie przejawiają się resztki nieobrzezanego człowieczeństwa, które dziełu Bożemu ewidentnie szkodzą.

Potrzebują tego także nie mniej nagląco ci z nas, którzy od krótszego lub dłuższego czasu żyją ustabilizowanym życiem chrześcijańskim, są z istniejącego stanu zadowoleni, nie podnieca ich zbyttno przebudzenie ani też nie martwi ich zbyttno jego brak, nie mają żadnych wyższych aspiracji duchowych i najchętniej pozostawaliby tam, gdzie się znajdują. Potrzebują dlatego, gdyż postawa taka to stan uspienia i letniości czyli wymowny dowód istnienia resztek nieobrzezanego człowieczeństwa, a pozostawanie w tym stanie skazuje na nieuczestniczenie w aktualnym Bożym działaniu i wyplucie z ust Bożych.

I potrzebują tego także nie mniej nagląco ci z nas, którzy poruszeni hasłem przebudzenia od krótszego lub dłuższego czasu zginają kolana przed Panem i poszukują coraz ściślejszej z Nim społeczności, a także doznają mniej lub bardziej częstych i mniej lub bardziej intensywnych dotknięć Ducha Świętego. Potrzebują dlatego, gdyż jest to zaledwie początek tego, co Pan może i chce uczynić, jeśli tylko nie będą w tym przeszkadzały Mu resztki naszego nieobrzezanego człowieczeństwa.

Niezależnie więc od tego, jak kto z nas ocenia szansę przebudzenia i jego bliskość czy odległość, jeśli tylko sprawa królestwa Bożego leży nam na sercu, to najlepszą rzeczą, jaką możemy uczynić, jest poddanie się pracy Ducha Świętego nad Jego ludem i usłuchanie Jego wezwania do złożenia samych siebie w ofierze na Bożym ołtarzu, usilne dążenie do pogłębienia osobistej społeczności z Bogiem przez zgodę na całkowite ukrzyżowanie i śmierć z Chrystusem. Tylko w ten sposób bowiem będziemy posuwać się naprzód i tylko w ten sposób zdołamy pozbyć się tego wszystkiego, co nasz postęp duchowy uniemożliwia, powstrzymuje lub zakłóca.

Jeśli tego nie zrobimy sami, czekają nas dwie możliwości. Bądź Pan pozostawi nas samym sobie i dołączymy do tych, których „ciała zasłały pustynie” (1Ko 10:1–13), bądź też natrze na nas w taki sam sposób, jak natarł na Mojżesza, aby rozprawić się krwawo z naszą nieobrzezka. Gdyby Pan nie miał na widoku potężnych działań w niedalekiej przyszłości lub gdyby nie zamierzał nas do tych działań włączyć, ta druga możliwość byłaby mało prawdopodobna. Jeśli jednak Bóg naprawdę ma na widoku przebudzenie, a pragniemy w nim uczestniczyć, lecz sami wzdrygamy się przed śmiercią z Chrystusem, to poważnie liczymy się z możliwością takiego Bożego natarcia.

W samej rzeczy Pan natarł już w naszym czasie na wielu swoich ludzi, aby dokonać ich wypalenia i oczyszczenia. Przeżycie takie jest bardzo dramatyczne i przykre, ale jego skutki są błogosławione. A więc nie tylko nadszedł już czas, aby rozpoczął się sąd od domu Bożego, lecz sąd ten już się rozpoczął. Pan oczyszcza swoją kadrę i wykona to konsekwentnie do końca. Nie trzeba jednak czekać na Jego natarcie. Korzystniej jest poddać się temu duchowemu obrzezaniu dobrowolnie i zawczasu.

J. K.

Bóg ma coś lepszego

Z pewnością zdarza się nieraz, że przeżywamy zniechęcenie, związane z brakiem Bożej odpowiedzi na nasze prośby. Nie otrzymujemy

natychmiast tego, o co prosimy. Nie otrzymujemy nieraz nawet po dłuższym czasie. Zdarza się także, że przez pewien czas angażujemy się w jakąś pracę dla Pana, cieszymy się przy tym Jego błogosławieństwem i mamy tego świadomość, po czym nagle zaczynają się kłopoty, Bóg jakby cofał swoje poparcie. Pojawia się jakaś niewidzialna zaporą, która mimo usilnych starań, modlitw i zmagania wydaje się być nie do przebicia. Przeszkody są tak liczne i pojawiają się coraz to nowe w takiej obfitości, że zawodzi pojęcie przypadkowości, a wydaje się raczej, że wszystko zawzięło się robić nam na przekór.

Wygląda na to, że aktualnie tego typu sytuacje nie należą do rzadkości. Wielce prawdopodobne, że z czymś takim mieliśmy do czynienia w niedalekiej przeszłości lub mamy jeszcze teraz. Dla przykładu, w ewangelizacji indywidualnej zaczynamy napotykać ludzi, stawiających zdecydowany opór. Spotkania dla uzależnionych, prowadzone z pożytkiem przez dłuższy okres czasu, przestają mimo licznych zaproszeń przyciągać kogokolwiek. Ewangelizację namiotową zaczynają zakłócać ekscesy rozwydrzonych nastolatków. Pojawiają się trudności z wynajmowaniem lokali na nabożeństwa. Szkoła biblijna, która rozwijała się pomyślnie od lat, staje nagle przed problemami nie do rozwiązania. W nawiązanych relacjach współpracy pojawiają się jakieś groźne zgrzyty. Sprawy duszpasterskie, które wydawały się już załatwione, na nowo zaczynają się jątrzyć.

Spotykamy się być może z niektórymi z wymienionych sytuacji albo z najróżniejszymi innymi, bądź to pojedynczymi, bądź też w różnych kombinacjach. Czujemy się tym zniechęceni i zadajemy sobie pytania. — Jak to rozumieć i jaki z tego wyciągnąć wniosek? — Zanim sformułujemy wniosek, spójrzmy najpierw na kilka przykładów.

Biznesmen Demos Shakarian w swojej książce „Najszcześliwsi na świecie” opisuje sytuację, w której po początkowych powodzeniach działalności założonej przez niego organizacji Biznesmenów Pełnej Ewangelii postanowiono „wypłynąć na szersze wody”. W dużym mieście wynajęto salę na przeszło 6000 miejsc i dano ogłoszenia do gazet. Jakież było jednak rozczarowanie organizatorów, kiedy w oznaczonym czasie zastali salę zupełnie pustą! Na zgromadzenie nie przybył dosłownie nikt. Mimo to jedna z siostr wygłosiła kazanie ewangelizacyjne do tej pustej sali i zrobiła wezwanie do oddania się Panu. Wtedy rozległy się kroki, przyszedł i oddał się Panu dozorca, który po zakończeniu miał zamknąć salę i słuchał kazania w swojej dyżurce.

Nieco podobne zdarzenie miało miejsce przed kilkunastu laty w jednym z miast polskich. Wynajęto tam salę kina w Domu Kultury i zorganizowano koncert pieśni religijnej. Młodzież rozproszona 2000 zaproszeń, chodząc po całym mieście od mieszkania do mieszkania, od

domu do domu. Kiedy o oznaczonej godzinie zajął miejsce na scenie ponad 50-osobowy chór i orkiestra smyczkowa, słuchaczy na sali było kilkanaście, i to prawie wyłącznie ludzi wierzących z okolicznych zbórów. Kiedy ewangelista wygłaszał swoje kazanie, nie miał pewności, czy na sali jest chociaż jedna osoba niezabawiona. Okazało się jednak, że jest. Podobnie jak u Shakariana, nawróciła się tego wieczora jedna osoba.

Jak tego typu wydarzenia rozumieć? Z jednej strony jest dowód, że Bóg w dalszym ciągu działa, gdyż w obu tych przykładach ewangelia dotarła do pojedynczych serc, z drugiej strony jednak oba te przedsięwzięcia okazały się być ewidentnym niewypałem i gdyby nie te nawrócone pojedyncze osoby, organizatorzy byłiby mocno rozczarowani i sfrustrowani. Nasuwa się myśl, że przez takie sytuacje Bóg ma nam coś ważnego do powiedzenia i trzeba nam tylko to Jego przesłanie rozszyfrować, aby móc je zrozumieć. Nie ulega wątpliwości, że treścią Bożego przesłania, zawartego w takich sytuacjach, jest z reguły to, co stwierdza tytuł tego artykułu. Bóg daje nam znać, że ma dla nas coś lepszego, skuteczniejszego i efektywniejszego.

— W jakim sensie? — Normalny, bieżący tryb naszej pracy dla Pana jest taki, że na miarę naszych zdolności, obdarowania i posiadanych środków planujemy pewne przedsięwzięcia, opracowujemy strategię działania, organizujemy i realizujemy co potrzeba, a przy tym modlimy się, prosząc Pana, aby te nasze działania pobłogosławił. I On z reguły wysłuchuje nas i czyni to. Nie znaczy to jednak, że jest z naszego stylu pracy w pełni zadowolony. Gorąco pragnie, abyśmy odkryli styl bez porównania lepszy i skuteczniejszy, polegający na tym, że to nie my, lecz On będzie robił plany, opracowywał strategię działania i kierował jego realizacją, my zaś będziemy tylko uległymi narzędziami w Jego rękach, słuchającymi Jego głosu i posłusznie wykonującymi Jego wskazówki.

Zarówno Demos Shakarian, jak i organizatorzy wspomnianego wyżej koncertu wyciągnęli z opisanych sytuacji właściwe wnioski i całkowicie zmienili swoje relacje z Panem. Dzięki temu działalność Społeczności Biznesmenów Pełnej Ewangelii ogarnęła w późniejszych latach prawie cały świat, a w polskim mieście, w którym odbyła się ta niefortunna ewangelizacja, znajduje się obecnie zbor, który ma własny budynek z kaplicą i prężnie się rozwija.

Różnica w możliwościach jest kolosalna. Pan Jezus powiedział: „beze mnie nic uczynić nie możecie” (Jn 15:5). Paweł z kolei znał odwrotną stronę tego medalu, toteż mógł powiedzieć: „Wszystko mogę w tym, który mnie wzmacnia — w Chrystusie” (Flp 4:13). Istota sprawy polega na naszym zespoleniu się z Panem w harmonijnym współdziałaniu, gdyż jakkolwiek wydawałoby się to paradoksalne, On w pewnym

sensie także nie może bez nas nic uczynić. Stanowimy Jego Ciało, którego z osobna jesteśmy członkami i w obecnym eonie nie działa On w świecie inaczej, jak tylko we współdziałaniu ze swoim Kościołem. Jeśli więc brak nam organicznego z Nim zespolenia, jeśli nie mamy z Nim dostatecznie ścisłej osobistej relacji duchowej, jeśli nie odbieramy Jego woli w sprawach bieżących wystarczająco wyraźnie, a w swojej działalności kierujemy się tylko ogólnikowymi wytycznymi Jego pisanego Słowa, rezultatem są z reguły efekty pracy dalekie od Bożych możliwości i naszych oczekiwań.

Nie znaczy to wcale, że nie mamy z Panem kontaktu, że nie mamy z Nim osobistej relacji, że nie znamy Jego woli ani że nie doznajemy Jego pomocy. Z reguły bardzo zależy nam na tym wszystkim i dokładamy starań, aby było, jak powinno, jesteśmy bowiem świadomi ważności tej sprawy. — O co wobec tego chodzi? — Chodzi głównie o stopień, o poziom, o stan zaawansowania czy też o głębię, jeśli kto woli, naszego zespolenia z Chrystusem. Nasze trwanie w Chrystusie, słyszenie Jego głosu, poznanie Jego woli, namaszczenie Jego Duchem, posłuszeństwo i wiele innych realiów duchowych to nie sprawy, których stan można określić jedną z dwóch wartości: „tak” lub „nie”, czy też jedną z dwóch pozycji wyłącznika: „włączone” lub „wyłączone” albo lampką, która zapala się lub gaśnie. Określa się je raczej przez odczyt położenia wskaźnika na skali z podziałką od „0” powiedzmy do „100” czy też przez odczyt nastawienia regulatora ciągłego, którego położenia krańcowe noszą oznaczenia „MIN” i „MAX”.

„Poznawszy Pana, starać się będziemy, abyśmy go więcej poznali” (Oz 6:3 wg.BG); „Droga sprawiedliwych... coraz jaśniej świeci” (Prz 4:18); „Latorośl... która wydaje owoc, oczyszcza, aby wydała obfitszy owoc” (Jn 15:2); „Umarliście... umartwiajcie” (Kol 3:5); „Przyoblekliście... przyobleczcie” (Kol 3:10, 12, 14); „Abyśmy... wzrastali pod każdym względem” (Ef 4:15); „Nie jakobym już to osiągnął albo już był doskonały, ale dążę... zmierzam... Ilu nas tedy jest doskonałych, wszyscy tak myślimy” (Flp 3:12–15); „O to się troszcz... żeby postępy twoje były widoczne” (1Tm 4:15); „Dołóżcie wszelkich starań i uzupełniajcie waszą wiarę cnotą... Jeśli je bowiem posiadacie i one się pomnażają, to nie dopuszczą do tego, abyście byli beczynni i bezużyteczni” (2Pt 1:5–8); „Tym bardziej dołóżcie starań, aby swoje powołanie i wybranie umocnić” (2Pt 1:10).

Powyższe wersety biblijne i wiele innych dowodzi, że Bóg nie tylko oczekuje, ale gorąco zachęca nas do posuwania się naprzód, że Jego pragnieniem jest, by mógł ustawicznie podciągać regulator naszego życia duchowego w stronę owego „MAX”. A owo docelowe „MAX” to nie nasz dzisiejszy stan duchowy ani stan duchowy naszego sąsiada, lidera grupy, pastora, prezbitera okręgowego lub naczelnego, ani też

stan duchowy jakiegokolwiek żyjącego czy nieżyjącego człowieka Bożego z historii Kościoła, lecz wyłącznie naszego Pana, Wodza i Dołkończyela wiary Jezusa Chrystusa.

Aczkolwiek jest to dla wszystkich oczywiste, w praktyce jesteśmy jednak zapatrzeni właśnie w samych siebie lub w jakiegoś człowieka czy też w jakieś znane nam i bliskie nam środowisko i na skutek tego ulegamy złudzeniu, że wskaźnik na skali naszego miernika prawie że dotyka już owego punktu „MAX”, a w każdym razie nie budzi żadnych zastrzeżeń i może być raczej przedmiotem naszej dumy. W rezultacie tego otrzymujemy aktualny poziom duchowy, do którego przyzwyczajamy się i na który się godzimy, a nawet jesteśmy z niego zadowoleni, aczkolwiek jest on jakże daleki od Bożych możliwości i oczekiwań. Prawie zawsze jest to w najlepszym przypadku brodzenie w wodzie życia po kostki, jeśli nie wręcz chodzenie wokół niej po suchym przybrzeżnym piasku.

Bóg co pewien czas podejmuje jednak wysiłki, aby skłonić nas do posuwania się dalej, do wchodzenia głębiej w toń Jego błogosławieństw, a często dzieje się to właśnie wtedy, kiedy nagle zaczynamy uświadamiać sobie, że coś się psuje, że coś się zaciera, że coś nie jest tak, jak powinno być. Najczęściej jest to sygnałem, że Bóg ma dla nas coś lepszego i pragnie, abyśmy wyciągnęli po to swoje ręce. Aby to osiągnąć, musimy jednak spełnić Boże warunki i zapłacić cenę. Ceną do zapłacenia jest nasza śmierć z Chrystusem, nasze podniesienie krzyża, zaparcie się siebie i złożenie naszych ciał w żywej, świętej ofierze (Mt 16:24–26; Gal 2:20; Rz 12:1).

Nieatrakcyjne? Jeśli takie mamy odczucie, to jest tak tylko na skutek choroby naszego wzroku duchowego, na skutek powierzchowności, na skutek cielesnego sposobu myślenia. Jeśli bowiem dane nam jest spojrzeć na to wzrokiem Bożym, to nie ma dla nas rzeczy bardziej atrakcyjnej, bardziej opłacalnej ani bardziej korzystnej pod każdym względem niż ta właśnie Boża propozycja. A to dlatego, iż nasza śmierć, usunięcie naszej starej mentalności, naszych ambicji, racji i celów na rzecz Bożej mądrości, mocy i chwały jest otwarciem drogi do istnej eksplozji Bożego działania, do duchowego trzęsienia ziemi w nas i wokół nas, do nieznanego nam dotąd i niespotykanego natężenia Bożej obecności, manifestującej się potężnie i dokonującej przeobrażeń, o których nie umiemy nawet marzyć.

Tak więc rzecz sprowadza się do tego, że Bóg zaprasza nas obecnie do jakościowo nowego oddania Jemu wszystkich dziedzin naszego życia, do jakościowo nowego pozwolenia Mu na zespolenie się z nami i kierowanie nami, do jakościowo nowego odbierania Jego woli i działania pod Jego namaszczeniem, do jakościowo nowej Jego obecności

w naszym życiu, manifestującej się w naszych kontaktach z otoczeniem. Bóg chce przekreślić regulator naszej duchowości zdecydowanie w stronę „MAX”, a zarówno my, jak i nasze otoczenie, potrzebuje tego nagląco.

Bóg nie zrobi tego jednak bez naszego przyzwolenia i współdziałania. A nasze współdziałanie z tym Jego dążeniem musi polegać na naszym zdecydowanym, uporczywym przekreśleniu regulatora naszej cielesności, świeckiej mentalności, ambicji, zarozumiałości, pewności siebie, zaufania własnemu doświadczeniu — słowem regulatora wszelkich resztek naszego starego człowieczeństwa w kierunku pozycji „MIN”. Jeśli chcemy uczestniczyć w Jego wspaniałym poruszeniu, musimy za radą Piotra „dołożyć wszelkich starań”, aby dotrzymać kroku z Bogiem w Jego obecnym działaniu. Wyzwania czasu domagają się chrześcijan nowej jakości i przywódców chrześcijańskich nowej jakości. Nie jest jednak naszym zadaniem wspinać się wzwyż, lecz schodzić w dół, uniażać i korzyć się przed Bogiem, a wtedy On sam będzie coraz bardziej wywyższony w nas i przez nas.

— Jak konkretnie to zrobić? — Nie do nas należy sterowanie tym procesem i nie próbujemy tego robić. Nie planujemy strategii naszego umierania z Chrystusem i nie prosimy Go, by błogosławił nam w jej realizacji, gdyż to byłby ciąg dalszy naszego zadawnionego problemu. To On musi uśmiercić nas, systematycznie i nieustannie stawiając nam przed oczyma ohydę naszego nieuśmierconego człowieczeństwa we wszystkich jego aspektach i dziedzinach. Do nas należy tylko możliwie długie i częste trwanie przed Panem na kolanach w usilnej prośbie o kontynuację tego procesu — stałe poddawanie samych siebie działaniu niebiańskiego Chirurga w usilnym błaganu, by mimo ciosów, bólów i ran nie przestał, dopóki wszystko, co Mu przeszkadza i nie służy Jego celom, nie zostanie całkowicie wycięte, zburzone, wypalone i wyniszczone i dopóki na tym miejscu nie zbuduje wszystkiego od nowa ze swojego własnego, niebiańskiego charakteru.

— Czego w tym procesie można się spodziewać i z czym przyjdzie mieć do czynienia? — Jest to obszerny temat, toteż w tym miejscu odpowiemy bardzo skrótowo. Przede wszystkim musimy ujarzmić swoje ciało, zmusić się do systematycznej, długiej modlitwy. Diabeł nigdy nie da za wygraną i zawsze, nawet po latach będzie się wysilał, aby skłonić nas do jej przerwania. Jeśli mu się to uda, będzie to jego wygraną, a naszą porażką. Kiedy już zwyciężymy nad swoim ciałem, przekonamy się, że znacznie trudniej zwyciężyć nad duszą. Chaos w nieokiełzanych myślach uniemożliwiać nam będzie skupienie modlitwne, sprawiając, że większość czasu modlitwy zmuszeni będziemy uznać za zmarnowaną. Tęgo problemu nie rozwiążemy już wyłącznie naszym wysiłkiem, toteż

musimy gorąco prosić Pana, by Jego Duch dopomógł nam ujarzmić nasze myśli.

Jeśli nie mieliśmy wcześniej doświadczeń w życiu modlitewnym, to przez dłuższy czas przyjdzie nam walczyć z wątpliwościami, czy nasze modlitwy mają jakikolwiek sens, czy w ogóle zbliżają nas choćby trochę do społeczności z Panem. Będzie to trwało aż do czasu, kiedy odczujemy wyraźne zbliżanie się Pana do nas, kiedy odbierzemy wyraźne Jego dotknięcia. Zanim to nastąpi, upłynie pewien czas, w którym kontynuacja naszych modlitw zależeć będzie tylko od naszej determinacji i wytrwałości w wierze. — Jak długo to potrwa? — Nie ma reguły. Jedni mówią o miesiącach, inni nawet o okresach dłuższych niż rok. Dla Boga okres ten jest sprawdzianem, dla nas treningiem. Bądźmy jednak pewni, że wyraźna Boża odpowiedź musi nadejść, gdyż gwarantują to liczne Boże obietnice.

Kiedy już Boża odpowiedź nadejdzie, będzie to doniosła chwila przełomowa, dająca ogromną ulgę, zachętę i satysfakcję, ale niosąca także z sobą nowe zagrożenia. Po pierwszych Bożych dotknięciach będziemy czuć się „w niebo wzięci” i najprawdopodobniej przekonani, że osiągnęliśmy już niebotyczne wyżyny duchowe, co kwalifikuje nas, by patrzeć na wszystkich innych z góry i czuć się niezrównanymi ekspertami od społeczności z Panem. Na szczęście, jeśli kontynuować będziemy wytrwale nasze audyencje u Króla królów, Jego Duch niebawem uświadomi nam, że to znów górę w nas wzięła wstrętna cielesność w postaci pychy duchowej, zarozumiałości i wyniosłości, toteż wznowimy bój, poddając w skrusze te obrzydliwe cechy pod uśmiercające działanie Jego krzyża. Jest to wspaniały początek na drodze osobistych doświadczeń z Panem, ale tylko początek, który wymaga kontynuacji.

Po tych pierwszych Bożych dotknięciach mogą jeszcze być dłuższe okresy Bożego milczenia, generalnie jednak Boże działanie nasila się pod względem częstotliwości, wyrazistości i jego odczuwalnych długotrwałych skutków. W czasie tych sesji bez przerwy uczymy się, zdobywamy doświadczenie, mądrość i moc, częściowo świadomie, a częściowo nieświadomie. Pod warunkiem, że cały czas współdziałamy i na bieżąco usuwamy z drogi samych siebie i coraz bardziej widoczne dla nas rażące cechy naszej cielesności. W tej fazie nasze chwile z Bogiem przestają też być stopniowo uciążliwym obowiązkiem, do którego musimy się zmuszać, a stają się coraz bardziej atrakcyjne i pożądane. Teżsknimy do nich, nie chcemy ich utracić i nie potrafimy obejść się bez nich. W ten sposób cały czas uczymy się „chodzić z Bogiem”.

Nigdy nie będziemy mogli tego zaprzestać i nigdy tu na ziemi proces ten nie zostanie zakończony, ale w miarę upływu czasu naszego wytrwałego stawania przed Panem będziemy coraz wyraźniej odczuwać Jego dotknięcia, najpierw słabe, a potem coraz mocniejsze, coraz

wyraźniej też będziemy zauważać dokonane w nas przez Pana zmiany, a z pewnym opóźnieniem zmiany te staną się widoczne także dla naszego otoczenia. Tak, jak Bóg dotykał nas, będzie teraz dotykał innych poprzez nas. Kontaktując się z nami, odbierać będą coraz wyraźniej obecność Bożą z wszystkimi tego uzdrowieńczymi skutkami. Zaczną też odsłaniać się i otwierać przed nami nowe wymiary poznania Pana, duchowej dojrzałości i służby. Będziemy wtedy przyjmowali „łaskę za łaską” (Jn 1:16), posuwając się naprzód na drodze „z wiary w wiarę” (Rz 1:17), „z mocy w moc” (Ps 84:8), „z chwały w chwałę” (2Ko 3:18), a „rzeki wody żywej”, płynące z naszego wnętrza, będą w zdumiewający sposób wszechstronnie przeobrażać i uzdrawiać nasze otoczenie (Jn 7:37–38; Ez 47:9).

Chyba nikt już nie jest w stanie powiedzieć, że jest to mało atrakcyjne. I chyba wszyscy uznajemy, że to dobrze, kiedy Pan cofa jak gdyby swoje poparcie, sygnalizując nam w ten sposób, że ma dla nas coś lepszego. Niewątpliwie warto spełnić Boże warunki i warto zapłacić wymaganą przez Boga cenę. Nie jest to żadna abstrakcja. Nie jest to także nic, co wymagałoby jakichś nadludzkich, heroicznych wysiłków. Jest to coś, co leży w zupełności w zakresie naszych i Bożych możliwości. Bóg bardzo tego pragnie. A ty? Jeśli ty także, to nic nie stoi na przeszkodzie. A więc, na kolana!

J. K.

Filadelfia w natarciu

Nie, to nie jest żaden reportaż sportowy o tym, że drużyna Filadelfii ostatnio pnie się w górę i pokonuje swoich rywali, jak sugerowałby tytuł. Filadelfia to wyraz grecki, który znaczy „miłość braterska”. Występuje on w Nowym Testamencie sześć razy, tłumaczony także jako miłość bratnia lub braterstwo, a to w następujących fragmentach: „Miłością braterską jedni drugich miłujcie” (Rz 12:10); „A o miłości braterskiej nie potrzeba wam pisać, bo jesteście sami przez Boga pouczeni, że należy się nawzajem miłować” (1Ts 4:9); „Miłość braterska niechaj trwa” (Hbr 13:1); „Skoro dusze wasze poświęciliście przez posłuszeństwo prawdzie ku nieobłudnej miłości bratniej, umiłowicie czystym sercem jedni drugich gorąco” (1Pt 1:22); „I właśnie dlatego dołóżcie wszelkich starań i uzupełniajcie waszą wiarę... braterstwem, braterstwo miłością” (2Pt 1:7).

Filadelfia czyli miłość do braci jest bardzo wyraźnym nakazem biblijnym, ale jest także naturalnym odruchem nowej, Boskiej natury, a jako taka jest także sprawdzianem nowego narodzenia z Ducha. Biblia stwierdza bowiem wyraźnie, że nie jest z Boga ani też nie przeszedł ze śmierci do żywota ten, kto nie miłuje braci (1Jn 3: 10, 14).

Powstaje oczywiście w związku z tym pytanie, kto jest naszym bratem w sensie duchowym i kogo wobec tego dotyczy nasza filadelfia. Nie wszyscy ludzie są bowiem w tym sensie naszymi braćmi, nie są nimi nawet wszyscy ludzie podający się za chrześcijan. Wiemy o tym, że apostoł Paweł mówił też o fałszywych braciach (2Ko 11:26; Gal 2:4). Jeśli zadać pytanie, kto to są fałszywi bracia, prawie na pewno usłyszy się odpowiedź, że są to chrześcijanie, mający fałszywą doktrynę. Takie mniemanie uzasadnia obejmowanie filadelfią tylko tych, którzy we wszystkim z nami się zgadzają, kto bowiem się nie zgadza, ma fałszywą doktrynę, a więc jest fałszywym bratem. Wbrew wskazówkom Pana Jezusa, który mówi: „Jeśli miłujecie tylko tych, którzy was miłują, na jakąż wdzięczność zasługujecie?” (Łk 6:32). Przy takim pojmowaniu nie jesteśmy lepsi od celników i grzeszników.

Nie trudno udowodnić, że fałszywym bratem nie jest chrześcijanin, który ma fałszywą doktrynę. Apostoł Jakub zwraca się do chrześcijan, których oskarża o to, że „fałszywie rozumują”, a jednak nazywa ich „umiłowanymi braćmi” (Jk 2:4-5). Kto więc jest fałszywym bratem? Oczywiście tylko ten, kto nie narodził się z Boga czyli nie jest pojednany z Bogiem dzięki ofierze Jezusa Chrystusa. A zatem wszyscy ludzie na nowo narodzeni, niezależnie od tego, jak bardzo ich przekonania różniłyby się od naszych, są synami Bożymi, a więc naszymi braćmi, którym winniśmy świadczyć miłość braterską.

— Ale co zrobić z tym uczuciem niechęci, obcości i wrogości, które nas ogarnia, ilekroć mamy do czynienia z wierzącymi, którzy się z naszymi przekonaniem nie zgadzają? Czyż uczucie to nie jest dowodem, że są to fałszywi bracia? — Gdybyśmy potrafili udowodnić, że nie ma już w nas żadnych resztek starej natury, moglibyśmy tak rozumować. W rzeczywistości jednak wiemy, że wrogość, spór, knowania, waśnie to nie naturalne odruchy nowej, Boskiej natury, lecz stare uczynki ciała, pozostałości dawnego życia według modły tego świata (Gal 5:20). Nie mogą więc takie uczucia służyć nam jako sprawdzian „fałszywości” tych, którzy przyznają się do Chrystusa, a których tak trudno przychodzi nam włączyć w obręb naszej filadelfii. Zamiast więc toczyć bój przeciwko swoim braciom, lepiej zrobilibyśmy, kierując nasz atak przeciwko pozostałościom starej natury w nas samych.

Zagadnienie to jest w dalszym ciągu w Ciele Chrystusowym sprawą kluczową, o którą rozbijają się wszelkie wysiłki, zmierzające do duchowego postępu. Nie możemy się spodziewać, że Bóg będzie tolerował i sankcjonował nasze niezliczone małe wojny domowe i że zamiast jednego przebudzenia ześle ich kilkanaście czy kilkadziesiąt, do każdej z licznych skłóconych z sobą lub ignorujących się wzajemnie grup po jednym. Brak miłości bratniej w praktyce wzajemnych stosunków w Ciele Chrystusowym jest przeszkodą odnowy, duchowego

postępu i przebudzenia, która nie tylko utrudnia pojawienie się tych pożądanych zmian, lecz łatwo może ich nadejście uniemożliwić.

Jest tylko jeden Kościół, jedno mistyczne Ciało Chrystusa i Bóg współdziała tylko z tym jednym, zbudowanym przez Chrystusa Kościołem. Jeśli więc działamy tkwiąc w mentalności i praktyce jakiegoś powołanego do życia przez ludzi i administrowanego przez ludzi „kościola”, to będziemy doznawać tylko strzępków Bożego błogostawieństwa. Przejawy Jego obecności i chwały będą więc w takim środowisku zaledwie śladowe, właśnie takie, jakie charakterystyczne są dla odstępstwa. Prawdziwa normalność, nacechowana obfitością Bożej obecności, mocy i chwały, którą zwykliśmy nazywać przebudzeniem, nie jest możliwa w ludzkiej organizacji, a możliwa jest tylko w Kościele jako duchowym organizmie, jednoczącym wszystkie członki Ciała.

Dzięki Bogu, że świadomość tej prawdy staje się dla szczerych dzieci Bożych coraz bardziej oczywista, toteż wszyscy ci, w których Duch Święty wkłada pragnienie oglądania duchowej odnowy i uczestniczenia w niej, otwierają się i zabiegają o przemianę swojego umysłu, tak aby odrzucić wszelkie środowiskowe sposoby patrzenia, a przyjmować Boży punkt widzenia Kościoła. Cieszy niezmiernie fakt, że szczególnie ludzie młodzi robią w tej dziedzinie duże postępy, gotowi podjąć związany z tym wysiłek, wytrzymać i pokonać związane z tym napięcie i znosić związane z tym niedogodności. Należy jednak z wdzięcznością przyznać, że postępy w tej dziedzinie, aczkolwiek nieco wolniej, robią także ludzie starsi wiekiem, sprawujący władzę.

W świadomości przygniatającej liczby chrześcijan bardzo długo tkwiło, a w wielu tkwi nadal przekonanie, że istnieją tylko dwa sposoby podchodzenia do rozwiązania sprawy rozbicia wyznaniowego. Jednym z tych sposobów jest podejście ekumeniczne, polegające na zacieraniu różnic drogą poszukiwania kompromisów czyli rozwiązań wypośredkowanych, będących do przyjęcia przez wszystkich. Jest to jak gdyby dążenie do jedności drogą rezygnacji z pewnych słusznych przekonań czy zasad. Aby osiągnąć jedność, zachodzi więc konieczność domniemanego poświęcenia pewnych elementów prawdy. Czyli, krótko mówiąc, budowanie jedności w ten sposób postrzegane jest jako odbywające się kosztem prawdy, co jest niedopuszczalne i co należy odrzucić i potępić.

Drugim z tych sposobów jest bezkompromisowe obstawanie przy poznanej prawdzie, co z kolei umożliwia dążenie do jedności tylko drogą domagania się od innych przyjęcia bez zastrzeżeń tej poznanej przez nas prawdy. Jeśli nie decydują się na to, jedność jest niemożliwa, musimy więc być sobie obcy. Ponieważ zaś odrzucili prawdę, znajdują się w błędzie, a więc są fałszywymi braćmi. Nie tylko więc nie możemy z

nimi współpracować, ale mamy obowiązek unikać ich, ostrzegać przed nimi i zwalczać ich wszelkimi dostępnymi środkami.

Oba te obieguowe podejścia są jednakowo niebiblijne, nieduchowe i cielesne. Po pierwsze dlatego, że w sposób bezzasadny i subiektywny prawdę przypisujemy sobie. Po drugie dlatego, że w sposób bezzasadny i subiektywny błędy i fałsz przypisujemy innym. Po trzecie dlatego, że nie zgadzających się z nami wykluczamy poza nawias braterstwa i w ten sposób sankcjonujemy i utrwalamy istniejące rozbitcie jako coś nieuniknione i bezwzględnie koniecznego.

— Czy rzeczywiście nie ma już innego wyjścia? — Dla starego człowieka z pewnością nie ma. Nieuśmiercona natura pierwszego Adama nie może inaczej, jak tylko wydawać przykry odór cielesności. Natomiast drugi Adam ze swoją nową naturą z nieba posiada środki w postaci filadelfii i agape, całkowicie wystarczające do Bożego, niebiańskiego sposobu rozwiązania tego dylematu rozbitcia. To Boże rozwiązanie polega na zapieraniu samego siebie i pokornym, wytrwałym i ofiarnym wzajemnym usługiwaniu sobie posiadanym poznaniem i zrozumieniem duchowym aż do położenia życia za braci włącznie. Rozbitcie wyznaniowe chrześcijaństwa jest dziełem nadnaturalnym, dziełem diabelskim, skutkiem działania sił demonicznych. Dlatego też nie może zostać przezwyciężone środkami naturalnymi, lecz jego uleczenie wymaga środków nadnaturalnych, środków Bożych, a są nimi braterstwo filadelfia i miłość agape.

Każde ugrupowanie dzieci Bożych posiada w swoim dorobku duchowym coś cennego, niepowtarzalnego, co potrzebne jest i powinno służyć całemu Ciału Chrystusa. I podobnie każde ugrupowanie posiada coś bezwartościowego, szpecącego i hańbiącego, co niszczy i powinno zostać wyeliminowane. Ani jedno, ani drugie nie jest możliwe do osiągnięcia w atmosferze uczynków ciała. Jedno i drugie jest w pełni możliwe w atmosferze owoców Ducha ludzi ukrzyżowanych z Chrystusem i napełnionych Jego miłością. Kontakty na poziomie filadelfii wzbogacają zarówno poprzez wzajemne obdarowywanie się rzeczami cennymi, jak i wzajemne pomaganie sobie w pozbywaniu się rzeczy hańbiących. Kontakty takie nie wymagają żadnego kompromisu, żadnego rezygnowania z jakiegokolwiek elementu prawdy i pozwalają zachować i stale pogłębiać posiadaną prawdę, a dzieje się to nie kosztem jedności, lecz przy jednoczesnym zachowaniu i stałym pogłębianiu jedności Ciała.

Jakże to wspaniałe, że coraz większa liczba chrześcijan pragnie takich relacji i usilnie dąży do tego, aby tak właśnie wyglądały stosunki między dziećmi Bożymi! Jakże to cieszy, kiedy widzi się coraz liczniejsze przykłady wysiłków w tym kierunku i kiedy pojawiają się coraz wyraźniej widoczne ich owoce! Filadelfia daje o sobie znać, pojawia

się coraz częściej, naciera coraz śmielej i staje się coraz odważniejsza i mocniejsza. Zwracajmy uwagę na te małe jaskółki, zapowiadające rychłą wiosnę, radujmy się z nich i gorąco prosimy o więcej, a przede wszystkim sami nie marnujmy żadnej okazji, by przyczynić się, aby rozwój w tym kierunku był coraz szybszy.

Oto dla przykładu garść prawdziwych zdarzeń z niezbyt odległych od nas miejsc i z niezbyt odległej od nas przeszłości, a każdy, kto te sprawy śledzi, z pewnością byłby w stanie dodać do nich wiele innych podobnych:

Młode małżeństwo z wspólnoty zielonoświątkowej otrzymuje propozycję i obejmuje funkcję gospodarzy w zborze baptystycznym.

Kilkudziesięciu adwentystów z kraju i zagranicy modli się i pości w intencji zdrowia żony pewnego zielonoświątkowca.

Dorastające dzieci stanowczego chrześcijanina przeżywają głębokie poruszenie duchowe na zgromadzeniu norweskich uświęceniowców, na które trafiają przez przypadek podczas wycieczki.

Osoby z misji łaski tłumaczą książki dla wydawnictwa ruchu kościoła lokalnego, głęboko poruszone i zbudowane ich treścią.

Baptysta przygotowuje się do obrony pracy doktorskiej na uczelni ewangelickiej pod kierownictwem promotora adwentysty.

Nawraca się człowiek, który zetknął się z ewangelią poprzez zakonnicę katolicką, która dała mu książeczkę z kazaniem Williama Branhama.

Wierzący z różnych zborów przychodzą licznie na świetne satelitarne programy ewangelizacyjne do zboru adwentystów.

Misja łaski i zбір zielonoświątkowy prowadzą wspólną ewangelizację z pantomimą na dużym placu miejskim.

Animator z katolickiej wspólnoty charyzmatycznej zostaje pastorem dużego zboru zielonoświątkowego.

W wielu miejscowościach pastory różnych zborów ewangelicznych spotykają się regularnie na wspólne modlitwy i narady, a gdzieś niedługo urządzają także co pewien czas wspólne nabożeństwa.

Ksiądz katolicki zaprasza gedeonitę na lekcję religii w szkole. Podczas gdy gedeonita składa świadectwo o swoim nawróceniu i mówi uczniom o Jezusie, ksiądz do Nowych Testamentów, przyniesionych przez gedeonitę, wpisuje uczniom swoje dedykacje.

Członek kościoła braterskiego spotyka w szpitalu sędziego świadka Jehowy i rozmawiają z sobą trochę. Kiedy świadka mają odwiedzić jego krewni, a brat widzi, że jest on nieogolony, oferuje się, że go ogoli. Po goleniu świadek zapytuje, ile się za to należy. — Ależ nic — pada

odpowieź — to w ramach miłości braterskiej. — Świadek nie odpowiada. Nie może odpowiedzieć. Nie może nawet podziękować. Jest głęboko wzruszony.

Filadelfia naciera, a jej stosowanie rodzi błogosławione skutki. Ten niewielki na razie płomyk ma szansę szybko się rozprzestrzenić w wielki pożar, jeśli będziemy usilnie zabiegać o to w swoich modlitwach i zdecydowanie uczestniczyć w tym swoimi działaniami. Uzdrawieńcze skutki miłości braterskiej są rewelacyjne, oszałamiające. Jeśli świadomie przyłączymy się do tego natarcia filadelfii i pójdziemy mimo wielu zniechęcających przeszkód tym torem, zobaczymy niebawem wspiane rezultaty, które nas będą wypełniać radością i satysfakcją.

Jest jeszcze na tym polu niezmiernie wiele do zrobienia, gdyż braterskie walki nie należą jeszcze wcale do rzadkości. Nadal pojawiają się książki, w których z pozycji doktrynalnej jakiejś denominacji atakowane, oskarżane lub wyśmiewane są inne ugrupowania braci, ich przekonania i działalność lub też towarzyszące jej zjawiska. Nadal krążą jakieś maszynopisy czy kserokopie, w których z pozycji własnej nieomylności w sposób zjadliwy, nienawistny, diabelski szkaluje się i miesza z błotem braci jakiegoś kierunku. Czasem odbywają się nawet seminaria czy konferencje, specjalnie poświęcone opluwaniu innych braci. W pierwszym wykładzie wykładowca nr 1 opluwa ugrupowanie A. Po dyskusji i krótkiej przerwie wykładowca nr 2 opluwa ugrupowanie B. Po przerwie obiadowej wykładowca nr 3 opluwa ugrupowanie C. I tak nawet przez kilka dni pod rząd.

Ci, którzy czytając lub słuchając utworzą się na tę truciznę i pozwolą jej wejść do swojego wnętrza, stają się niewolnikami „oskarżyciela braci” (Obj 12:10) i potem sami stają się gorliwymi, fanatycznymi jego pomocnikami. Są przy tym całkiem szczerzy i święcie przekonani, że walczą po stronie Boga o czystość nauki i zwycięstwo prawdy. Rzeczą znamioną przy tym jest to, że celem ich zawziętych ataków nie jest ani martwość tradycyjnych kościołów, ani kierunki neoliberalne w chrześcijaństwie, ani pseudochrześcijańskie niebiblijne kultury, ani różnorakie bałamutne prądy New Age, ani nawet grupy satanistyczne, lecz prawie wyłącznie te ruchy, które wyrastają i pozostają na podłożu ewangelicznym, podejmują hasło odnowy i w oparciu o Biblię starają się ją realizować.

Rzecz oczywista, że nie ma wśród nich kierunku doskonałego, że każda próba posuwania się do przodu to także wiele pułapek, zagrożeń, niepowodzeń, błędów, że niektóre awangardowe zrywy okazały się być niewypałem, że pewne pionierskie wypadły zakończyły się oderwaniem od całości i utknięciem w separatyzmie i zastoju, że niektóre z tych ruchów także uległy manii oskarżania i częstują swoich współbraci

różnymi epitetami. Ale to wszystko nie usprawiedliwia wrogiego stosunku do braci, którzy znaleźli się w takich kłopotach. Potrzebują oni pomocy, potrzebują wyciągniętej ręki, potrzebują bratniej miłości, a nie potępienia ani wrogości. Czasami wygląda na to, że gdyby powstał ktoś wzorem Jonatana i jego giermka (1Sm 14:6–15), aby dokonać wyłomu w szeregach nieprzyjaciela, zostałby natychmiast zadźgany przez braci ze swojego własnego obozu.

— O czym to świadczy? — Nie ulega wątpliwości, że nie może to być rezultatem działania w Duchu Chrystusowym. O wiele bardziej przekonujące wydaje się być wyjaśnienie, że to nasz przeciwnik diabeł podsyca w nas na wszelkie możliwe sposoby nastroje wrogości, sporów, knowań i waśni. Wiadomo, że najzacieklej będzie atakował to, co najbardziej mu zagraża, a co dla ludu Bożego ma największe znaczenie. Dziwi tylko i szokuje fakt, że udaje mu się to robić rękami dzieci Bożych, że to my sami wyręczamy go w tym dziele, napadając z furii na swoich walczących braci.

Przy takim nastawieniu nawet modlitwy mogą być niszczące, kiedy zamiast wspierać nimi braci, modlimy się przeciwko nim, gdyż tym samym narażamy zarówno ich, jak i siebie na wpływy demoniczne. Często w związku z przebudzeniem mówi się o niszczeniu chmury ciemności, wiszącej nad poszczególnymi miastami, ale nie uda nam się zniszczyć takiej chmury, dopóki chmura ciemności unosić się będzie nad samym Kościołem. W imperium rzymskim kierowano się hasłem „Divide et impera — Dziel i panuj”. Łatwo można było trzymać w poddaństwie liczne ludy przez celowe skłócanie ich i podsyłanie ich wzajemnych kłótni. Nie ulega wątpliwości, że tę samą skuteczną taktykę zna i stosuje także nasz przeciwnik. Trzyma lud Boży w poddaństwie dzięki naszym ustawicznym kłótniom i tak będzie, póki będziemy posłusznie reagować na jego podżeganie nas przeciw braciom. Jak tylko zjednoczymy się w miłości braterskiej, jego imperium upadnie.

Utarła się zasada odplącania pięknym za nadobne. Jeśli ktoś z innej grupy mnie skrytykował, będę krytykował tę grupę i uważam to za całkiem słuszne. Jeśli jacyś bracia zaatakowali moje przekonanie, to sądzę, że cały ich dorobek zasługuje na zmieszanie z błotem. Jeśli ktoś nie chce ze mną współpracować, to jestem zdania, że należy go unikać i przed nim ostrzegać. — I to ma być postawa biblijnych chrześcijan? I tak ma wyglądać miłość braterska? — Są to „normalne” odruchy cielesności starego Adama. Ciało podpowiada nam, że jeśli ktoś opluwa innych, to zasłuży na to, aby go za to opluwać. A jeśli opluwa nas, to nic już nas nie powstrzyma, aby także porządnie opluć go natychmiast. Jeśli jednak ulegniemy takim odruchom, to dajemy się wciągnąć w toczącą się wojnę wszystkich przeciwko wszystkim, to

stajemy do usług „oskarżyciela braci” i będziemy przez niego wykorzystywani do niszczenia dzieła Bożego. Poddanie się takim odruchom to klęska filadelfii, a zwycięstwo „oskarżyciela braci”.

Filadelfia to dokładne przeciwieństwo takich postaw. Jeśli widzę, że ktoś, będąc szczerym dzieckiem Bożym, a więc moim bratem, uprawia wrogość do innych braci lub do mnie samego, jest to sygnałem, że potrzebuje on szczególnie mojej filadelfii, że powinienem obdarzyć go dziesięciokrotnie większą porcją miłości braterskiej. Jednocześnie jednak, kiedy to sobie uświadomię, zobaczę też natychmiast, że nie jestem w stanie tego zrobić, że nie stać mnie na to, że nie dam rady stanąć na wysokości tego zadania. Mogę co prawda powstrzymać się od urągania mu, ale chłód i niechęć do niego na dnie serca pozostają.

Ale taki stan to jeszcze nie filadelfia. Jeśli chcę, aby natarcie filadelfii było zwycięskie, jeśli chcę rzeczywiście przyczynić się do zakończenia bratobójczych wojen, a do triumfu sprawy Bożej, to muszę zrobić znacznie więcej. Muszę położyć swoją duszę, swoje życie za braci (1J 3:16). Muszę zdecydować się na śmierć resztek starego Adama w sobie i walczyć o tę śmierć w usilnych modlitwach aż do skutku, aż do całkowitego wyniszczenia i wypalenia z serca tego chłodu i niechęci do brata, aż do pojawienia się zamiast niej autentycznej filadelfii, zdolnej błogosławić go, ze serca życzyć mu tego, co najlepsze, i w gorących przyczynnych modlitwach wspierać go w jego pracy i duchowym rozwoju.

Jeśli taka przemiana we mnie rzeczywiście nastąpi, to będę w stanie z pogodną twarzą spotkać tego brata i rozmawiać z nim przyjaźnie, a kontakt ten nie będzie zatruty jadem uprzedzenia czy wrogości i dlatego Duch Święty będzie mógł dalej kruszyć bariery i opory, aż do całkowitego uzdrowienia naszych stosunków. Jeśli moje poddanie się filadelfii będzie dostateczne, to proces ten będzie przebiegał zdumiewająco sprawnie i szybko.

Natarcie filadelfii nie polega więc wcale na tym, jak tradycyjnie przywykliśmy uważać, że ponieważ naszym braciom brak miłości bratniej, a świadczą o tym ich wzajemne spory i sposób ich prowadzenia, to trzeba im to zarzucać i usilnie nalegać, aby się wzajemnie bardziej miłowali. Natarcie filadelfii musi polegać na tym, że otworzymy na nią nasze własne serca i pozwolimy jej zabić w nas wszelkie negatywne odruchy w stosunku do braci, a potem rozlać się w nas za sprawą Ducha Świętego w takim stopniu, aby w naszych kontaktach z braćmi przelewała się ona z nas na innych.

— Od czego więc zacząć w tym poddaniu się natarciu filadelfii?
— Może od tego, że sporządzisz sobie listę ugrupowań i braci, którzy szczególnie idą ci na nerwy, których nazw czy nazwisk nie możesz

nawet wymienić bez wewnętrznego wzburzenia, a potem uklękiesz z tą listą i będziesz modlić się nad każdą pozycją po kolei, błogosławiąc tę grupę czy osobę i prosząc dla niej o błogosławieństwo tak długo, aż będziesz w stanie robić to spontanicznie i bez żadnego wewnętrznego oporu. Jeśli przejdiesz przez taką terapię, będzie to kolejnym krokiem do zwycięstwa miłości braterskiej w Kościele. A to zwycięstwo niebawem da o sobie znać i zaowocuje takim potokiem Bożych błogosławieństw, że wszyscy będziemy tym oszołomieni.

J. K.

Białe szaty dla nagiego

Ponieważ mówisz... niczego nie potrzebuję, a nie wiesz, żeś... goły.

Radzę ci, abyś... przyodział szaty białe, aby nie wystąpiła na jaw haniebna nagość twoja
...
Obj 3: 17b, 18b

W odróżnieniu od wszystkich innych ziemskich stworzeń ludzie chodzą ubrani. Konieczność ubierania się jest następstwem upadku w grzech, który spowodował obdarcie ludzi z Bożej chwały, która do tego momentu stanowiła ich okrycie. Nagość jest więc hańbiąca, gdyż przywodzi na pamięć tę tragedię, która obnażyła człowieka przed Bogiem. Pierwszą, nieudaną próbą zakrycia tej hańby były nieudolne, sklecone naprędce przepaski z liści figowych (1Mo 3: 7), ale przed przenikliwym wzrokiem Stwórcy nie zakryje ludzkiej nagości żadna odzież własnej roboty. Dopiero odzienie ze skór zwierzęcych, sporządzone przez samego Boga (w. 21), rozwiązało problem nagości pierwszych ludzi.

Temat nagości i zakrywającej ją odzieży albo szaty raz po raz pojawia się w Piśmie Świętym w znaczeniu duchowym. Człowiek oddalony od Boga, zbuntowany, znajdujący się na własnych drogach jest w sensie duchowym nagi i okryty hańbą, choćby o tym nie wiedział czy nawet się tym szczycił. Próby przejednania i zadowolenia Boga przez własne uczynki, własne próby nienagannego i sprawiedliwego postępowania są nieskuteczne jak te przepaski z liści figowych i nie zakrywają naszej nagości przed Bogiem, a są w najlepszym przypadku „szatą splugawioną” (Iz 64: 6). Dopiero pojednanie z Bogiem i przyjęcie sprawiedliwości Chrystusowej jest zewleczeniem brudnej szaty, a ubraniem szat czystych i odświętnych (Za 3: 3–5). Bożą sprawiedliwość, będącą podstawą stosunków w Królestwie Niebios, symbolizuje na wielu miejscach biała, lśniąca szata, w jakiej pojawiały się istoty niebiańskie (Dn 7: 9; Mt 28: 3; Mk 16: 5; Łk 24: 4; Dz 1: 10). W lśniących szatach widziany był także Pan Jezus, kiedy Ojciec Niebieski pokazał uczniom Jego chwałę (Mt 17: 2; Mk 9: 3; Łk 9: 29).

Długa lista miejsc biblijnych mówi także w kontekście wieczności o ludziach odkupionych, pojednanych z Bogiem i narodzonych na nowo jako o obleczonych w szaty białe. „Kilka osób” z Sardes, które „nie skały swoich szat”, chodzić będzie z Panem „w szatach białych” (Obj 3: 4). „Zwycięzca zostanie przyobleczony w szaty białe” (w. 5). Przez otwarte drzwi w niebie Jan widział starców „odzianych w białe szaty” (Obj 4: 4). Białe szaty dano także męczennikom (Obj 6: 11), w białe szaty odziany był także „tłum wielki, którego nie mógł nikt zliczyć” (Obj 7: 9). W odróżnieniu od pomordowanych z rozdziału 6 ci ostatni nie otrzymali białych szat w niebie, lecz w wielkim ucisku na ziemi „wyprali szaty swoje i wybielili je we krwi Baranka” (Obj 7: 13–14). Jest to nie tylko możliwe, lecz także konieczne, jak mówi nasz tekst (Obj 3: 18). Już starotestamentowy Kaznodzieja radził: „Noś zawsze białe szaty, a na twojej głowie niech nigdy nie braknie olejku” (Kzn 9: 8). Błogosławiony to ten, który „czuwa i pilnuje szat swoich, aby nie chodzić nago i aby nie widziano sromoty jego” (Obj 16: 15). Błogosławionymi są też ci, którzy „piorą swoje szaty, aby mieli prawo do drzewa żywota i mogli wejść przez bramy do miasta” (Obj 22: 14).

Podsumowując tę biblijną naukę o białych szatach możemy stwierdzić, że ich posiadanie jest dla ludu Bożego koniecznością. Są darem łaski Bożej, rezultatem ofiary przelanej krwi Chrystusa, ale dbałość o ich posiadanie i stan jest naszym obowiązkiem i ponosimy za to przed Bogiem odpowiedzialność. Niewywiązanie się z tego obowiązku pociąga za sobą niezmiernie tragiczne skutki, gdyż „udziałem... skalanym... będzie jezioro płonące ogniem i siarką” (Obj 21: 8).

Podstawową, fundamentalną cechą Kościoła Jezusa Chrystusa jest jego czystość czyli bieżąca praktyka sprawiedliwości i świętości Chrystusowej (2Ko 11: 2; Ef 5: 27; Obj 19: 8), bardzo wyraźnie, rażąco kontrastująca z poziomem życia w księstwie tego świata, z praktyką bieżącego postępowania ludzi nieodrodzonych. Niestety, tę sprawiedliwość i świętość pochodzenia niebiańskiego praktykować trzeba w środowisku wrogim, świeckim, pełnym nieprawości, pospolitości i brudu. Dlatego wybielanie i utrzymywanie w czystości swoich szat wymaga od chrześcijan nieustannego wysiłku, nieustannej czujności i walki, a także nieustannego oczyszczania się z brudnych naleciałości najróżniejszego rodzaju. Stan szat ludu Bożego w danym momencie i miejscu zależy w pierwszym rzędzie od stanu jego stosunków z Bogiem, od stopnia, w jakim życie Chrystusa dominuje na co dzień nad „życiem” według ciała. Wszelkie formy odstępstwa wpływają na pogarszanie się tego stanu, natomiast w okresach odnowy i duchowej odwilży, dzięki wzrastającemu zespoleniu z Chrystusem, następuje systematyczna poprawa w tej dziedzinie, wywierająca na dłuższą metę ozdrowieńczy wpływ także na świeckie otoczenie Kościoła.

Chodzi o sprawę o fundamentalnym znaczeniu, gdyż lud Boży powołany jest do tego, by być światłością świata i solą ziemi, by gorliwością w dobrych uczynkach rozgłaszać cnoty swojego Mistrza i Pana. Nie po to, aby uczynkami tymi zasłużyć na swoje zbawienie, lecz dzięki temu, że darowane mu zbawienie bez uczynków owocuje potem wspańiale obfitością uczynków sprawiedliwości. Kościoły mają więc być miejscami, skąd promieniuje na świat chwała Boża w postaci wysokiej jakości życia, pełnego owoców Ducha. Jeśli tak nie jest, mamy do czynienia ze stanem tragicznym i w najwyższym stopniu alarmującym. Problem ten istniał zawsze, w całej historii Kościoła od samych jego początków apostoelskich, szczególnego znaczenia nabiera jednak w obecnej, końcowej fazie jego ziemskiej pielgrzymki. Po pierwsze dlatego, że w tej fazie dojrzewa na świecie „tajemna moc nieprawości”, co wyraża się spotęgowaniem zła w najróżniejszej postaci, nacierającego także na Kościół, a po drugie dlatego, że mimo tej wzmożonej presji zewnętrznej Kościołów w tym właśnie czasie w szybkim tempie dochodzić musi do swojego stanu docelowego, w którym nie tylko musi być ubrany, lecz w którym jego szaty mają być wolne od wszelkiej zmazy i lśnić nienaganną czystością.

Jedno i drugie znajduje swój wyraz w poselstwie Głowy Kościoła do zboru laodycejskiego. Przemożne wielorakie wpływy i naciski ginącego, pogrążającego się moralnie świata nie tylko wprawiają ten Kościół czasów ostatecznych w stan ubóstwa i nędzy i nie tylko pozbawiają go wzroku i czynią ślepy, lecz także kalają i zdzierają z niego szaty sprawiedliwości, wystawiając go na hańbę przed Bogiem i przed ludźmi. Dlatego zachodzi nagła potrzeba, bezwzględna konieczność zdecydowanego przeciwdziałania, nawrotu do ścisłej więzi z Bogiem celem wzbogacenia się i odzyskania wzroku oraz białych szat, zakrywających duchową nagość i świadczących o skuteczności dokonanego dzieła Bożej łaski. Tak więc z jednej strony nędza, ślepotą i nagość Kościoła tego okresu są niezaprzeczalnym faktem, z drugiej zaś strony przezwyciężenie i usunięcie tego stanu jest bezwarunkowym Bożym nakazem. Jedno i drugie trzeba nam bez zastrzeżeń zaakceptować i otrząsnąwszy się ze zwodniczego samozadowolenia podjąć wyzwanie tego czasu. Niezrobienie tego jest trwaniem w odstępstwie. Zrobienie tego jest częścią odnowy i drogą do przebudzenia.

— Czy rzeczywiście jest aż tak źle na odcinku naszej obecnej sprawiedliwości i świętości? Przecież to Chrystus nas usprawiedliwia i przyobleka w swoją świętość. Czyż nie wierzymy w doskonałe dzieło odkupienia? Czy możemy do niego coś dodać? Na czym miałyby polegać nasza nagość? — Zrozumienie tych pytań i znalezienie właściwej na nie odpowiedzi jest kluczowe dla zrozumienia istoty przestania do zboru laodycejskiego. Słowo Boże uczy wyraźnie, że w ostatecznych

dniach nastaną trudne czasy (2Tm 3: 1–9). Po tym stwierdzeniu Biblia podaje opis stanu moralnego ludzi tego okresu, budzący grozę. Nie chcielibyśmy żyć w otoczeniu świeckim, pełnym takich ludzi. A tymczasem chodzi o wierzących, „którzy przybierają pozór pobożności, podczas gdy życie ich jest zaprzeczeniem jej mocy” (w. 5). Są to więc ludzie, powołujący się na Bożą łaskę, w których życiu nie widać jednak owoców jej działania. Nie widać przemiany wewnętrznej, nie widać śmierci własnego „ja”, nie widać nowego człowieka, nie widać owoców Ducha. Dlaczego? Ponieważ nie przebyli Bożej drogi z ciemności do światłości, nie zobaczyli w Bożym świetle swojego brudu i zgnobionego stanu, nie przejęli się grozą swojego grzechu, nie błagali Boga o ratunek, nie doświadczyli odnawiającej mocy Bożej, nie biorą na co dzień swojego krzyża, podążając za Barankiem i nie kładą swoich ciał ofiarą żywą, świętą, miłą Bogu, toteż nie doznają systematycznej przemiany na obraz Chrystusa przez działanie Słowa i Ducha. Przyjęli tylko intelektualnie syllogizm, że kto uwierzy, będzie zbawiony, jak przy okienku bankowym złożyli podpis lub wypowiedzieli formułkę i powiedziano im, że stali się chrześcijanami.

— Zaraz, zaraz! Mówisz o członkach martwych, nominalnych kościołów, a my przecież jesteśmy chrześcijanami ewangelicznymi, biblijnymi, którzy świadomie przyjęli wiarę, dali się ochrzcić i naśladować Chrystusa. — Chwała Bogu za wszystkich chrześcijan, którzy świadomie starają się naśladować Chrystusa! Ale jak w praktyce wygląda to nasze naśladowanie? Łaska Boża może oczyścić i wybielić tylko to, co świadomie poddamy jej działaniu. Jeśli z jakichkolwiek powodów pewnych elementów naszego starego człowieka nie „zewlecemy”, nie zdecydujemy się na poddanie ich działaniu Bożej łaski, czy to będąc na nie ślepi, czy też woląc ich nie widzieć i udając tylko ślepych, to nie zostaniemy z nich oczyszczeni i będziemy paradować w nich na swoją hańbę nawet przez długie lata. Tak długo, dopóki nie zdecydujemy się na radykalną, konsekwentną odnowę.

Miniony okres duchowej zimy wielce sprzyjał kształtowaniu się, powielaniu i utwierdzaniu takich pozornych postaw chrześcijańskich. W pierwszym rzędzie chodzi oczywiście o grzech osobisty w najróżniejszej postaci, o pozostawianie ludzi wierzących w różnych formach cielesności i zmysłowości, o uleganie wpływom i przyjmowanie wzorców ze świeckiego otoczenia. To nieoczyszczone z pozostałości starego człowieka życie osobiste przenosiło się potem do stosunków małżeńskich, rodzinnych, społecznych, a także na teren wspólnoty kościoła, powodując, że ludzie brudni starali się pozyskiwać dla Boga innych ludzi brudnych, co w rezultacie prowadziło do żalosnej mieszaniny brudu i czystości, ciemności i światłości, fałszu i prawdy, a w tym wszystkim do zatarcia Bożej wspaniałości i chwały.

Chyba niepotrzebne są przykłady, gdyż dotyczy to praktycznie wszystkich dziedzin cielesności i wszystkich rodzajów grzechu. Jakże żaloszny widok przedstawia „chrześcijanin”, chowający po wielu latach swojego „chrześcijańskiego” życia w skrytych schowkach kawałki papierosów i pociągający z nich ukradkiem od czasu do czasu, a potem usiłujący przed pójściem na nabożeństwo „oczyszczyć” się zuciem liści pietruszki! Albo „chrześcijanin”, chowający na dnie szuflady jakieś czasopisma porno i zanieczyszczający się co pewien czas pod wpływem ich podniecającej lektury, albo dolewający do herbaty po trosze alkoholu, rzekomo dla lepszego trawienia, albo zabawiający się grzechem w swojej wyobraźni i w myślach! Można by także mówić o wzajemnych stosunkach, kłótności, wybuchowości, plotkarstwie i wielu, wielu innych tego typu zmazach, które przez wiele długich lat były na porządku dziennym, podczas gdy wysiłki ich pokonania nie dawały żadnego rezultatu. Te i wiele im podobnych postaci cielesności to niezaprzeczalna nędza, ślepotą i golizna.

Nie sposób pominąć na tym miejscu naszej własnej specjalności, typowo polskiej cechy charakteru, która w szczególny sposób zachwaszczała i hańbiła życie ludu Bożego. Jest nią zamiłowanie do różnego rodzaju półprawd i półkłamstw, najróżniejszego naciągania, machlojek i kanciarstwa, aż po jawne kłamstwa, szachrajstwa i oszustwa. Wynoszenie najróżniejszych rzeczy z zakładów pracy, fałszywe oświadczenia, korzystanie z różnych nienależnych ulg, fałszywe zeznania podatkowe, łapownictwo, nieuczciwe prowadzenie interesów i wiele innych tym podobnych. W postawach takich rażąco kontrastujemy z protestanckim światem anglosaskim, gdzie prawdomówność, rzetelność i uczciwość są na ogół elementarną sprawą honoru, a podobni jesteśmy do katolickich Latynosów z południa Europy i Ameryki.

Po nawróceniu się człowieka, jeśli jest ono szczerze i autentyczne, następuje z reguły radykalny przełom w poziomie moralności. Rażące grzechy zostają momentalnie osądzone przez działanie Słowa i Ducha, wyznane i porzucone, potem zaś w codziennym życiu chrześcijańskim następuje systematyczne zewlekanie starego człowieka z jego uczynkami i przyoblekanie nowego — stopniowe oczyszczanie się pod wpływem Słowa Bożego i przebywania we wspólnocie ludzi odrodzonych z tych różnorodnych haniebnych i hańbiących cech życia według modły tego świata. Jeśli stan stosunków z Bogiem jest prawidłowy i życie duchowe rozwija się normalnie, następuje szybkie i wyraźnie widoczne wrastanie w Chrystusa. W życiu chrześcijanina już po niedługim czasie pojawiają się owoce Ducha, a żaloszne i poniżające cechy starego człowieka zostają wyeliminowane i okryte sprawiedliwością Chrystusową. Człowiek staje się zakochany w świętości, a zdążające do uświęcenia otoczenie umożliwia mu szybkie postępy. Dzięki temu całe środowisko

może pełnić swoją naturalną rolę światłości świata i soli ziemi.

Inaczej sprawy wyglądają w atmosferze odstępstwa. Stosunki z Bogiem są w opłakanym stanie, wpływ Ducha Świętego jest gaszony, nauczanie drogi sprawiedliwości zostaje zaniechane, coraz trudniej także o właściwe przykłady do naśladowania, nie mówiąc już o tym, że zdarza się nawet, iż usiłujący zachować swoją świętość i czystość bywają wyśmiewani i szykanowani. Następuje nieprawdopodobne zachwazczenie praktycznego postępowania naleciałościami z świeckiego otoczenia, nieraz do tego stopnia, że w praktycznym postępowaniu na co dzień pomiędzy „ludem Bożym” a światem nie ma już żadnej różnicy. Pojawiają się nawet błędne doktryny, mające taki stan rzeczy usankcjonować, głoszące, że czystość i świętość chrześcijanina jest tylko wewnętrzna i dotyczy stanu serca, na zewnątrz zaś jest niewidoczna.

Kiedy wiać zacznie wiatr odnowy, problem grzechu, pospolitości i nieczystości moralnej w życiu osobistym i wspólnotowym chrześcijan jest jednym z głównych elementów tej grubej skorupy lodowej, z którą Duch Święty musi się uporać. Nie stanie się to bez świadomego, czynnego i zdecydowanego współdziałania Bożych ludzi, każdego z nas. Wymownym przykładem jest okres odnowy, o którym mowa w prorectwie Aggeusza. Oba rozdziały tej krótkiej księgi biblijnej prawie w całości są mocnym Bożym apelem do Jego ludu o przystąpienie do odbudowy zrujnowanej świątyni. Bóg przez proroka nalega, zachęca i wzywa do czynu, do radosnego podjęcia działań, obiecując błogosławieństwo. Z jednym wszakże, znamionym wyjątkiem, w którym ten podniosły nastrój zostaje nagle zakłócony przez przykry zgrzyt, kiedy prorok na rozkaz Boga porusza sprawę czystości: „Cokolwiek oni ofiarują, będzie nieczyste” (Ag 2: 11–14).

Jeśli odnowa ma być autentyczna, nie może unikać spraw przykrych, a koniecznych. W euforii przebudzenia nie można puścić w niepamięć rażących zaniedbań przeszłości, lecz wszystkie one muszą zostać objęte działaniami, zmierzającymi do przywrócenia ważności wszystkim Bożym zasadom i normom. Nagością i golizną, będącą rezultatem oddalenia się od Boga, trzeba się zająć w pierwszej kolejności i ze szczególną starannością, aby wyeliminować wszystkie jej haniebne skutki. Reformator Jozjasz aż dziesięć lat oczyszczał kraj i świątynię z bałwanów, świątynek, aszer, posągów, ołtarzyków kadzielnych i innych rozlicznych rekwizytów odstępstwa (2Kn 34: 3–8). Na drodze odnowy nie da się uniknąć procesu dogłębnego, starannego i szczegółowego oczyszczenia ani też zbyć go jakimś pośpiesznym aktem, gdyż nasze brudy różnej postaci skutecznie zamrażają działanie Bożej łaski i blokują postępy odnowy. Boża chwała nie może wrócić do świątyni, dopóki nie zostanie z niej usunięta ostatnia wniesiona tam obrzydliwość.

Wielu z nas podjęło walkę modlitewną o przebicie się do bezpośredniej społeczności z Bogiem i doznajemy w tym zachęty w postaci dotknięć Ducha Bożego, ale jesteśmy jeszcze dalecy od spełnienia swoich pragnień i zaspokojenia istniejących potrzeb. Obrany kurs jest dobry i jedynie słuszny, walkę więc należy wytrwale kontynuować, koniecznie jednak nasze prośby należy uzupełnić otwarciem się i poddaniem się Bożemu osądowi i oczyszczaniem się na bieżąco od wskazywanych nam przez Słowo i Ducha nieczystości, które stoją na przeszkodzie naszemu zbliżaniu się do Boga. Tylko w ten sposób bowiem następować może nasze przeobrażanie się, konieczne, by Bóg mógł nam powierzyć „większe dary łaski” bez ryzyka, że skalamy je swoją niedojrzałością. Bez postępów w procesie wybielania naszych szat nie będzie postępów w procesie powrotu Bożej mocy i chwały.

Warto na tym miejscu powiedzieć kilka słów o tzw. legalizmie, gdyż wiąże się to z naszym tematem. W niedalekiej przeszłości byliśmy świadkami tępienia przez wielu przywódców różnych martwych uczynków zwyczajowej pobożności, jak zachowywanie sztucznej powagi, modlitwa w określonych pozach, nie uczestniczenie w żadnych świeckich imprezach, nie oglądanie telewizji, nie uprawianie żadnych sportów ani gier, nie noszenie żadnych ozdób, nie używanie żadnych kosmetyków, ściśle przestrzeganie reguł dotyczących odzieży, obuwia, pielęgnacji włosów, twarzy, paznokci itp. Tępiono przestrzeganie tego wszystkiego raczej słusznie, gdyż najczęściej postawy takie nie wpływały z duchowości, lecz były jej namiastką, przeniesieniem punktu ciężkości z wiary na uczynki i z wolności w Chrystusie na odgórne egzekwowanie przestrzegania ludzkich nakazów i przepisów zakonu.

Niestety często wylewa się wraz z kąpielą i dziecko, przeocza się bowiem, że większość tych tępionych postaw to zewnętrzne pozostałości po dawnych okresach duchowego ożywienia, odnowy i rozkwitu życia chrześcijańskiego. Pod wpływem działania Ducha łaski odrzucano wtedy spontanicznie cielesność, poddając każdą dziedzinę i każdy szczegół życia pod całkowite posłuszeństwo Chrystusowi. Nie z przymusu, lecz ochotnie i z radością. Kiedy jednak życie wracało do „normy” i zabrakło żywotności duchowej, pozostawały tylko jej niektóre przejawy zewnętrzne, w dodatku z biegiem czasu zniekształcone. Ich dalsze kultywowanie bez duchowej inspiracji i motywacji jest pozbawione sensu tak samo jak reklamowanie firmy, która już nie istnieje, lub wiązanie krawata człowiekowi, który nie ma koszuli. Dochodzi wtedy do przedczadania komara, a połykania wielbłąda. Można to robić tylko przez nakazy i naciski, a jest to szkodliwe.

Kiedy jednak życie duchowe rozkwita na nowo, a Duch zaczyna działać bezpośrednio, kładzie swój palec na różne szczegóły w naszym życiu, pragnąc dokonać ich odnowy. Nie możemy zamykać się na

żadne uzdrowieńcze, korygujące działanie Bożej łaski, chcącej wyprowadzić nas z naszej haniebnej nagości. Nie możemy sądzić, że sprawę załatwia spłycona doktryna o usprawiedliwieniu z łaski, mówiąca, że Bóg patrzy na nas przez Chrystusa i nie widzi w nas żadnych wad czy niedoskonałości. Mamy bowiem do czynienia nie z doktryną, lecz z żywą Istotą świętego Boga, który ma swoje odczucia i upodobania, pewne rzeczy kocha, a inne wywołują Jego gniew i obrzydzenie. Pan Jezus nigdy nie zachęcał do postawy łapu-capu. Nie powiedział nigdy, że komara można spokojnie połknąć, że dziesięcinę z mięty, kopru i kminku można sobie darować. Przeciwnie, wyraźnie nakazał nawet takich drobiazgów nie zaniedbywać (Mt 23: 23; Łk 11: 42).

Ciesz się więc, drogi bracie, droga siostrze, z wolności w Chrystusie, lecz jeśli usilnie dążysz do odnowy swojego życia i obecności w nim Bożej chwały, to przygotuj się na to, że Duch będzie Ci wskazywał mnóstwo drobiazgów, z których będzie chciał cię oczyścić. Być może nagle twoje obcisłe, wytarte i postrzępione dzinsy tak cię osądzą, że zaczerwienisz się po uszy. Być może jakiś inny szczegół twojego wyglądu zacznie cię tak palić, że nie zniesiesz tego na sobie. Być może siedząc przed telewizorem i oglądając mecz poczujesz się nagle tak zaniepokojony duchowo, że tylko usilną modlitwą wydostaniesz się z tego. Być może jedna tylko negatywna myśl na temat współbrata czy współsiostry tak cię udręczy, że wyszukasz ich i wyznasz ją przed nimi. Być może wydarzy się jeszcze tysiąc innych takich rzeczy. Dziękuj gorąco za każdą z nich, gdyż jest to kolejny mały krok od golizny do białej szaty, od nagości do Bożej chwały. Jeśli będziesz się na to otwierać, będą widoczne twoje postępy. Jeśli się na to zamkniesz, będziesz dreptać w miejscu i tylko środkami duszelnymi podsycać w sobie „Bożą” radość, a całe twoje życie „duchowe” może pozostać tylko imitacją. Niechęć w poddawaniu się takiej obróbce przez Ducha jest przejawem odstępstwa. Poddawanie się jej z upragnieniem i zadowoleniem świadczy o przebiegającym procesie odnowy.

Prócz osobistych są też inne aspekty i elementy laodycejskiej golizny, jak naruszone relacje małżeńskie, rodzinne, wspólnotowe. Szczególnie żaloszny pozostaje dotychczas w wielu przypadkach stan wzajemnych stosunków pomiędzy wspólnotami, ciągle jeszcze nacechowany rywalizacją, oskarżaniem, niechęcią i wrogością. Odstępstwo przybierało i przybiera na różnych miejscach różne postacie i ma różny przebieg. Niestety, jego przejawy „zdobiły” nie tylko szeregowych członków kościołów, lecz także niejednokrotnie ich przywództwo. Trafiali się nawet liderzy, świadomie posługujący się ciemnością, zatajaniem prawdy i jawnym kłamstwem jako dopuszczalnym i nieodzownym narzędziem działania. Do tego stopnia, że wysiłki chodzenia w światłości i prawdzie, a unikania ciemności i kłamstwa tępil niektórzy jako przejawy

legalizmu! Nie jest rzeczą łatwą poruszanie tego tematu, ale jest to konieczne. Ciemność jest domeną szatana i jego sił demonicznych, toteż wszystko, co okryte jest znową milczenia, pozostaje pod jego panowaniem. Wszystko natomiast, co się ujawnia, jest światłością, a moce ciemności można pokonać tylko światłością. (Ef 5: 8–14). W szczególności kamieniem potknięcia i diabelską przynętą, czynnikiem demoralizującym przywództwo niektórych kościołów była przez długie lata obfita „pomoc” zagraniczna dla zborów, wręczana po kryjomu, co gdzie niedzie doprowadziło do wykreowania wielce niezdrowych układów, do zawłaszczania tej pomocy i dysponowania nią na dużą skalę w prywatnym interesie i dla własnych celów, wbrew interesom Kościoła i w ścisłej tajemnicy przed zborami, dla których była przeznaczona i którym miała służyć.

Nie trudno odgadnąć, jak niszczący miało to wpływ na kondycję zborów, prowadzonych przez ludzi, którzy znaleźli się w tym szatańskim potrzasku. Sami marnieli i podupadali duchowo, a zbory pod ich opieką były płądrowane pod względem materialnym i duchowym. Pod względem materialnym, gdyż zdarza się, że jeszcze do dziś niektóre z nich odczuwają ujemne skutki tego okresu w postaci różnych dotkliwych braków, a pod względem duchowym, gdyż rodzące się w nich dzieci w żaden sposób nie mogły dojść do dojrzałości duchowej i skazane były na wegetację, na chrześcijaństwo karłowate i niepełnosprawne. Lecz, co jeszcze gorsze, przez długie lata zbory takie „rodziły” całe rzesze ludzi zgorzkniałych, zranionych, duchowo kalekich, skazanych na tułaczkę, którzy przychodzili, chrzcili się, pozostawali przez pewien czas, a nawet usługiwali, a potem otrzymywali śmiertelny cios, kiedy ich oczy otwierały się na rażący kontrast między treściami głoszonymi, a praktyką. Z biegiem czasu liczba takich owiec, rozpędzonych przez pasterzy, którzy paśli samych siebie (Ez 34: 1–22), wzrastała do zastrasżających rozmiarów.

Jeśli odnowa ma być wiarygodna i dogłębna, musi objąć także i te dziedziny. Dzięki Bogu, że On dotrzymuje swojej obietnicy i usuwa złych pasterzy (w. 10), przebiega także naprawianie wyrządzonych ludowi Bożemu szkód i krzywd. Nie można tego pozostawić własnemu losowi, lecz wymaga to świadomego działania, gdyż w przeciwnym razie odnowa może utknąć. Wymownym biblijnym przykładem takiej sytuacji jest klęska głodu w okresie rządów Dawida (2Sm 21: 1–14). Kiedy Dawid pytał o jej przyczynę, Pan objawił mu, że na jego królestwie leżą czarną plamą przykre zaszłości z okresu rządów jego poprzednika Saula. Okazało się, że zachodzi potrzeba, aby wzgardzeni, krzywdzeni, tępieni i wyniszczani przez niego Gibeonici „pobłogosławili dziedzictwo Pańskie” (w. 3). Wprawdzie sam Dawid był niewinny, trzeba jednak było odciąć się od przeszłości i wyrządzonych krzywd

oraz uporządkować zaległe sprawy, a kiedy to nastąpiło, głód minął, a błogosławieństwo Boże wróciło. Nie wystarczy biernie czekać na zgorzkniałych i zranionych, choć Bóg obiecuje ich powrót, lecz należy wyjść im naprzeciw. Muszą oni mieć pewność, że okres ich poniewierki bezpowrotnie minął i że znów istnieją dla nich warunki do normalnego życia. Wtedy zażegnana będzie groźba duchowego głodu i wypełnienie Bożych obietnic nie utknie z powodu przeszkód.

Jeśli więc masz wpływ na kościół w miejscu, gdzie takie przykre przypadki występowały, to nie wahaj się odszukać skrzywdzonych i powiedzieć „przepraszam”, choć osobiście nie czujesz się winny, jak zrobił to Dawid, jeżeli zaś należysz do tych, którzy czują się skrzywdzeni, to nie wahaj się błogosławić dziedzictwu Pańskiemu, mimo że pamięć o latach odrzucenia i tułaczki jeszcze boli, jak zrobili to Gibeonici. Tylko taka postawa bowiem sprawi, że Bóg będzie znowu „łaskawy dla ziemi”. — Ale czy trzeba przy tym kogoś „wbijać na pal”, jak zrobił to Dawid? — A jakże! Na pal trzeba wbić koniecznie naszego starego człowieka z jego uczynkami, takimi jak nadgorliwość, skłonność do manipulacji, zarozumiałość, kłótniwość, pochopność, żądza górowania i stawiania na swoim, pragnienie odwetu i wiele innych przejawów starej natury, które w przeszłości komplikowały stosunki i prowadziły do niebiblijnych rozstrzygnięć. Winni różnych szkodliwych działań w królestwie Bożym są pod władzą swojego Pana i przed Nim ponoszą odpowiedzialność za swoje postępowanie. Wydaje się jednak, że w obecnym czasie ludziom takim zagraża poważne niebezpieczeństwo i należy się za nich modlić. Wygląda na to, że są oni jakby zamknięci na aktualne poruszenie Ducha, że nie są zdolni dostrzec nowej, narastającej fali Bożego działania i nastawiają się obojętnie lub negatywnie. Miałoby to dla nich konsekwencje nad wyraz bolesne i okrutne, trzeba więc żywić nadzieję, że Pan do tego nie dopuści, i zabiegać o to, by okazał swoją łaskę. Znacznie korzystniej dla sprawy Bożej byłoby, gdyby każdy pracownik zdołał wyciągnąć szczerze wnioski ze swojej postawy, poddał odnowie najpierw samego siebie, a potem uczestniczył w niej z pełnym przekonaniem i zaangażowaniem.

Być może w swoim osobistym życiu lub w swoim otoczeniu dostrzeżasz niektóre z poruszonych tu elementów, być może nieco do nich podobne, a być może całkiem inne. Formy odstępstwa i haniebnej nagości są różnorodne, ale wspólną cechą wszystkich jest ich niszczący wpływ, hamujący odnowę i duszący przebudzenie. Leżą czarną plamą na naszym życiu i wymagają usunięcia. Dowodem tego jest niezaspokojony głód, będący ich następstwem. Głód ten nie jest Bożą karą, lecz właściwie dobrodziejstwem, gdyż umożliwia nam uświadomienie sobie problemu, poznanie jego przyczyny, wydobyć go na światło i rozwiązanie go przez pokutę i oczyszczenie. Jest więc Bożym środ-

kiem, prowadzącym w ostatecznym rezultacie do rozkwitu i duchowej obfitości. Pod warunkiem jednak, że nie zignorujemy go i nie pogodzimy się z nim, lecz usilnie prosić będziemy Pana o pokazanie nam jego istoty, a potem bezlitośnie rozprawimy się z każdą czarną plamą, jaką w świetle Ducha zobaczymy. W okresie, poprzedzającym przebudzenie, wyrwanie się z hańbiących cech laodyceizmu jest sprawą życia i śmierci, sprawą, która decyduje o dalszym przebiegu przebudzenia w każdym z nas i o naszym udziale w aktualnym Bożym działaniu.

Fala Bożego poruszenia narasta i nic nie jest w stanie jej zatrzymać. Nie słuchamy wprawdzie codziennie dziennika z najświeższymi wiadomościami z przebudzenia, ale wieści, dochodzące do nas sporadycznie z różnych stron, raz po raz wskazują na to, że dzieje się więcej, niż myślimy, i że Boże procesy toczą się szybciej, niż przypuszczamy. Tak samo dzieje się na odcinku odzyskiwania i wkładania przez Kościół białych szat. Chwała Panu! Młode pokolenie ludzi Bożych, usilnie dążących do ścisłej osobistej społeczności z Panem, jakie przez działanie Ducha wyrosło w ostatnich latach i wyrasta przed naszymi oczami, jest uczulone i wrażliwe na sprawę czystości swoich szat! Miłuje prawdę, rzetelność i prawość, a brzydzi się kłamstwem, krętactwem i obłudą. Dzięki Bogu! To, o co tak trudno było przez dziesiątki lat, teraz pojawia się i jest widoczne coraz wyraźniej. Alleluja! Rośnie młody las „dębów sprawiedliwości” na chwałę Pana i dla odbudowy starodawnych ruin, opustoszałych osiedli i zburzonych miast (Iz 61: 3b-4). Szybko odrastają na Samsonie włosy — Boskie cechy owoców Ducha, z których golono go tak długo. Natomiast krętaczom, naciągaczom i szachrajom w domu Bożym zaczyna palić się grunt pod nogami. Chwieją i zaczynają rozsypywać się istniejące jeszcze na terenie kościoła bastiony ciemności i zakłamania. Wierzmy niezłomnie i módlmy się usilnie, by Duch Święty zburzył je do reszty. Począwszy od każdego z nas poprzez rodziny i wspólnoty aż po całość Kościoła jest czas ujawniania i usuwania wszelkich śladów hańbiącej duchowej golizny oraz przyoblekania czystych, białych, lśniących szat sprawiedliwości Chrystusowej. Jest to jeden z elementów procesu odnowy i jest to jeden z warunków jej powodzenia. Każdy krok, każdy postępek w tym procesie zbliża nas do pełni Bożej obecności, mocy i chwały.

J. K.

Weź krzyż swój

Krzyż, który mój Pan nakazuje mi nieść, może przychodzić pod różnymi postaciami. Być może, iż będę zmuszony zadowolić się wąską i skromną sferą działalności, podczas gdy czuję w sobie zdolności do pracy wyższego rodzaju.

Zdarzy się może, iż rok po roku trzeba mi będzie uprawiać pole, które wydaje się nie przynosić żadnego żniwa. Może Pan przykaże mi strzec dobrych i pełnych miłości uczuć i myśli w stosunku do człowieka, który mnie skrzywdził — rozmawiać z nim uprzejmie, ujmować się za nim przed tymi, którzy mu się sprzeciwiają, i wynagrodzić go współczuciem i wsparciem. Stanie się może, iż trzeba będzie świadczyć o moim Panu przed tymi, którzy nie chcą nawet słyszeć o Nim i Jego prawach. Może potrzeba będzie z promienną twarzą obracać się wśród ludzi w czasie, gdy moje serce pękać będzie z bólu.

Krzyży jest wiele i każdy z nich powoduje ból i ciężar. Żadnego z nich nie wybrałbym z własnej woli. Ale Pan Jezus nigdy nie bywa tak blisko mnie jak wtedy, gdy z pokorą biorę swój krzyż na ramiona i przyjmuję go w duchu cierpliwości i bez narzekania. Właśnie przez te przeżycia, które wydają mi się tak bolesnymi i przerażającymi, Pan przybliżył się do mnie po to, aby dojrzała we mnie mądrość, aby pogłębiać we mnie pokój, aby dodać męstwa i dać więcej mocy, bym mógł być pożyteczny dla innych. Pod ciężarem tego ucisku wzrastam duchowo, umacniam się i posuwam się naprzód. Używaj swojego krzyża jak laski, którą się możesz podeprzeć, a nie patrz nań jako na dręczącą cię przeszkodę!

„Strumienie na pustyni” 14 wrzesień

Skryj się u potoku Charyt

Sluga Boży powinien poznać całą wartość życia skrytego w Bogu. Człowiek, którego oczekuje zajęcie wysokiego stanowiska wśród ludzi, powinien wprawdzie zająć niskie miejsce przed obliczem Bożym. Nie powinno nas trwożyć, jeżeli czasem Ojciec nasz niebieski powie: „Dziecko Moje, dosyć masz już tych różnych zabiegów; niepokoiłeś się bardziej, niż było potrzeba; teraz oddal się od tego wszystkiego; „skryj się u potoku Charyt” (1Kr 17:3). Skryj się przy Charycie łoża bóleści lub Charycie smutku, w samotnym miejscu, gdzie nie ma tłumu... Każda duchowo usposobiona dusza, która chce posiadać silny wpływ na ludzi, musi zdobyć go najpierw w jakimś skrytym Charycie. Osiągnąć duchową moc nie skrywszy się przed ludźmi, a nawet przed samą sobą w jakiejś głębokiej szczelinie, gdzie istnieje możliwość zostać napełnionym mocą wiecznego Boga, jest rzeczą niemożliwą.

Pewien wielki mąż Boży miał swój Charyt obcując przez pięć godzin każdego dnia w ścisłej społeczności z Bogiem. Inny uważał dzień za źle spędzony, jeśli nie udało mu się spędzić od ośmiu do dziesięciu godzin w jak najbliższej społeczności z Bogiem. Znakomity misjonarz Dawid Brainer szukał samotności w górach północnej Ameryki, a Christmas Evans w długich samotnych podróżach wśród gór Walii. Wspomnijmy jeszcze te błogosławione wieki, z których wzięła początek nasza era: wyspa Patmos, samotność ciemnych wiezień rzymskich, pustynie arabskie, góry i doliny palestyńskie pozostaną zawsze pamiętnymi dla nas jako Charyty tych, którzy okazali się budowniczymi naszego współczesnego świata. Nasz Pan znalazł swój Charyt w Nazarecie, w pustyni Judzkiej, wśród oliwek Betanii i samotności Gadaru. Nikt z nas nie może obejść się bez swojego Charytu, gdzie głosy ludzkie zastępują ciche

wody, zasilane z tronu łaski i gdzie możemy sycić się słodyczami i wchłaniać moc życia, skrytą w Chrystusie.

„Strumienie na pustyni” 16 września

Kazanie pola

Jakiż radosny to czas dojrzałych niw, wesołych pieśni żeńców i zbioru ziarna do spichrza dla bezpiecznego przechowania! Ale przysłuchajmy się kazaniu pola. Oto jego poważne słowo do mnie: „Ty musisz umrzeć, aby osiąść życie. Nie powinieneś brać w rachubę swoich wygod ani swego dobrobytu. Musisz zostać ukrzyżowany i ukrzyżowanymi z tobą powinny zostać nie tylko grzeszne chęci i przyzwyczajenia, lecz jeszcze wiele z tego, co wydaje się ludziom zupełnie niewinnym i całkowicie dozwolonym. Jeśli chcesz ratować innych, nie możesz ratować samego siebie. Jeśli chcesz przynieść wiele owocu, będziesz musiał wpaść w ziemię, umrzeć i długi czas pozostawać w ciemności i samotności.”

Serce moje omdlewa we mnie, gdy przysłuchuję się kazaniu pola. Lecz w tym kazaniu słyszę głos Jezusa Chrystusa, proszącego mnie o tę ofiarę. Czyż mogę więc szukać większej czci niż być współuczestnikiem Jego cierpień i pozostawać z Nim w społeczności? I powinienem zgodzić się z tym, gdyż wszystko to, czego żąda ode mnie, przyczynia się tylko do ukształtowania ze mnie naczynia, zdatnego do użytku i służby dla mojego Pana. Jego własna Golgota rozkwitła, przynosząc obfitość owocu — i to samo oczekuje i moją Golgotę. Ze smutku powstał bezmiar błogosławieństw, ze śmierci — życie. Takie jest prawo Królestwa Bożego. Czyż nazwiemy to umieraniem, gdy nasionko otwiera się i wyrasta z niego wspaniały kwiat?

„Strumień na pustyni” 21 września

Wkrótce ukaze się książka Ludmiły Plett „Przebudzenie rozpoczyna się ode mnie” zawierająca relację misjonarza Erlo Stegena z potężnego Bożego poruszenia w Afryce Południowej.

Serdecznie dziękujemy Czytelnikom, którzy nadesłali ofiary na pokrycie kosztów, związanych z rozpowszechnianiem okólnika.

Wkrótce ruszy nasza witryna internetowa <http://www.DoCelu.Jezus.pl>

Wydawca: Oficyna „Cel”, Józef i Emilia Kajfosz, 30-147 Kraków,

ul. Na Błonie 15/91; tel./fax: (+48 12) 637 06 18;

E-mail: kajfosz@betania.katowice.pl Nakład 200 egz.

Rachunek bankowy: Nazwa rachunku: Józef Kajfosz, Na Błonie 15, Kraków;

Bank: PKO B. P., I Oddz. Kraków; Nr rachunku: 10202892-792442-270-41.

W Polsce kopiowanie, powielanie i przedruk dozwolone bez ograniczeń.

International Copyright Secured. Pojedyncze numery są bezpłatne.